

TYGODNIK ILLUSTROWANY



O SZCZĘŚCIU SŁÓW PARĘ.



Szczęście... bańka tęczowa o-ma-mień... Sfinksowa zagadka bytu... Świetlana złuda, odzia-na w szatę sławy, miłości, władzy czy bogactwa, wabi ludzkość. I z szyderskim uśmiechem wa-wrzyny macza w piołunach zawiści, różom daje cierniowe podkłady; zgłodniałych obda-rza, zamiast chlebem żywiącym, martwemi perlami, a znużonym i pragnącym ukazuje w dali świeże oazy, niknące za zbliżeniem, jako... fata morgana...

Czyżby szczęście było istotnie tylko ogólnym złudzeniem? grą młodzieńczej wyo-braźni? mirażem znużonego wędrowca?

Nim sformułujemy własne pojęcia, po-słuchajmy co mówią myśliciele i poeci wszystkich wieków o szczęściu i o jego are-nie—świecie.

Jeden z myślicieli dowodzi, że ludzkość przeszła trzy okresy złudzeń: starożytność uważała szczęście za możliwe do urzeczy-wistnienia w życiu ziemskim; wieki średnie szukały go w życiu zagrobowem; era współ-czesna widzi je w przyszłym, doskonałym roz-woju świata.

Przytoczone niżej wyjątki objaśniają czy-telnika, że starożytność nie składała tak bez-warunkowo swego szczęścia w życiu ziem-skim. Wyższe umysły wszystkich czasów sceptycznie traktowały kwestję ludzkiej doli w warunkach bytu ziemskiego.

Tęskno, z rezygnacją maluje życie Księga Święta: „Bojowaniem jest żywot człowieka, a ja-ko dni niewolnicze—dni jego. Jako niewolnik pragnie cienia i jako niewolnik czeka końca pracy.“ Salomon, syt sławy, rozkoszy, mą-drości—woła: „Marność marność i wszystko marność!“

Sofokles w jednej z tragedii (Edyp) jęczy, jak dzisiejszy dekadent: „Na świat się wcale nie rodzić—to pierwsze, największe pragnienie. A drugie—by z życia tam wró-cić, skąd się tu przybyło.“

„Wcale nie być i nie znać palących He-liosa promieni—oto byłby najlepszy los dla synów ziemi, a dla zrodzonych — w cieniu powrócić Hadesu“—wzdycha Teognis z Me-gary (545 po Chr.).

Irański poeta Anwazi Soheili (1600) śpiewa:

„Jeśliś zyskał świat cały, nie ciesz się tem wcale;
To nicieś!
A choćbyś świat utracił, porzuć próżne żale;
To nicieś!
Tak rozkosz, jak ból mija. Przejdź mimo! Świat cały
To nicieś!“

„Świat będzie zawsze męczarni padolem, i pełnym kału—puharem z kryształu“—sarka Abdul Hatahija (Arab).

Z tych pesymistycznych przesłanek Teognis z Megary wysnuwa wniosek, pod którym mogliby się podpisać materyaliści wszystkich czasów:

„Kiedy umrę, królewskie nie zda mi się łożo,
Oset mnie nie ukłóje, dywan nie pomoże,
Trawa nie będzie miękka, drewnem się nie spłoszę,
Więc niech mam, póki żyję, rozkoszy po trosze.“

I starożytni, zaznaczając beznadziejność w poszukiwaniu szczęścia — leczyli swoje zwątpienia—czerpiąc z życia „rozkoszy po trosze.“

„Szczęście jest snem — rzeczywistością cierpienie — woła prowodyr encyklopedystów. —Muchy są stworzone na to, aby były poże-rane przez pajaków, a ludzie—aby ich poże-rała zgryzota“ (Voltaire). Ponury Schopen-hauer nazywa życie „pewnym rodzajem hi-storyi naturalnej bólu, która tak się stresz-cza: chcieć bez pobudki, zawsze cierpieć, za-wsze walczyć, potem umierać, i tak przez wszystkie wieki wieków.“ Z tego wysnuwa wniosek, że: „wszelka rozkosz jest negacyj-ną—tylko boleść jest pozytywną.“

Michelet chłodno warunkuje szczęście—rozsądkiem: „Szczęście może iść w parze tyl-ko z rozsądkiem, jeżeli ma być trwałe.“ Materyaliści dowodzą, że szczęście ludzkie wzmaga się w miarę używania zmysłowego; idealisci ukazują je w poświęceniu. Trzeźwy pozytywista uznaje za szczęście radość z te-go, co posiadamy, nie łaknąc niemożliwego. Sully Proudhon każe go szukać w zupełnej świadomości, we wszechwiedzy, gdyż każdy umysł, raz rozbudzony do świadomości, drę-czony jest niedolą, zwaną: bólem niewiado-mego.“

Cousin dowodzi: „Stosunek człowieka do prawdy i sprawiedliwości—jest jego prawem i istotnym szczęściem. Po za sprawiedliwo-scią i prawdą jest jego nieszczęście. W du-szy więc mieszka szczęście lub niedola.“ „Je-żeli aspiracje jednostki są w harmonii ze środowiskiem, w którym żyje, a działalność jej osiąga najwyższy stopień powodzenia“ (Paolo Lombroso).

„Szczęście jest dobrem, zupełnie uspokajającym pożądanie.“

Z tych krótkich zestawień czytelnik zro-zumie, że istotę szczęścia, zarówno jak świat zewnętrzny, każdy widzi pod kątem indy-widualnych pojęć i pragnień. W czym innym szuka jej poeta, filozof, gdzie indziej znajdu-je filister lub prostak.

Szczęścia się nie rozumuje, lecz odczu-wa. Określić je formułą matematycznej ści-słości—nie sposób; pozostać ono musi w gra-nicach pojęcia i odczucia. Jako pojęcie by-wa tak różnorodne, jak różnorodne są poglądy i przekonania jednostek; jako poczu-cie—jest jednym, niezmiernem we wszystkich piersiach pragnieniem.

Każdy wyobraża sobie szczęście we włas-nej, ulubionej formie: skąpiec widzi je w pie-niędzach, artysta—w sławie, młody—w miło-ści, matka—w dzieciach, światowiec—w roz-rywkach, asceta—w Bogu. Najdokładniej zaś odczuwamy je—jako przeciwstawienie niedoli. Więc szczęściem dla chorego będzie zdrowie, dla głodnego—chleb, dla wątpiącego—wiara, dla znużonego—spokój.

Ogół utożsamia szczęście z zadowole-niem, płynącym z użycia, i najbardziej pożą-daną, oraz najlepiej rozumianą dla niego je-go formą—jest rozkosz i bogactwo.

Moralisci daremno biadają nad zepsu-

ciem obyczajów, nad hołdowaniem zmysło-wości i mamonie; dopóki ideał szczęścia stać będzie na poziomie zwierzęcego użycia i za-dowolenia, dopóty pragnienie szczęścia, ży-wiołowa potęga, ściągając będzie ludzkość na niziny i doprowadzi ród ludzki do rozpasania i zwyrodnienia, groźnego nie tylko dla osob-ników, lecz i dla gatunku.

Jeżeli ideał szczęścia postavimy w zgod-nej i owocnej działalności wszystkich uzdol-nień jednostki dla umiłowanego celu, zaprze-czymy zasadzie materyalistów, wskazującej szczęście w używaniu zmysłowym. Wszak można pracować wśród chłodu i głodu, a na-wet umierać z zadowoleniem dla ukochanej idei.

Gdybyśmy w laboratorium życia chcieli przygotować szczęście według przepisu Sully Proudhona, rzeczywistość zadałaby kłam re-cepcie: wszechwiedza jest niedostępna dla ludzkiego umysłu, a ludzie z rozwiniętą nad-miennie inteligencją najdotkliwiej czują nę-dzę bytu i nigdy nie dochodzą do zgody własnych aspiracji ze środowiskiem, w któ-rem żyją.

I filozoficzne „desiderata“ Cousin'a zo-staną też pięknym rojeniem, bo na pobojo-wiskach świata, równie jak w sumieniach ludzkich—sprawiedliwość rzadko zwycięskie stacza boje. Wszystkie nasze zakusy o roz-wiązanie zagadki prowadzą do smutnego przeświadczenia, że szczęście ma naturę ognia: jeżeli czasem strzeli wysoko i jasno, jak pło-mień, zawsze jednak ciągnie za sobą ciężki ogon swędu i dymu. A groźny Sfinks czyha na tych, którzy zagadki nie rozplatali.

Na smutnej, krwawej arenie zaciętych walk, pracy niewolniczej i pożądań drapież-nych, gdzie krzywda nie ma głosu, a słabość budzi pogardę, gdzie duch cierpi niedolę mro-ku i nieprawości, a ciało choruje i umiera, czy można, choćby w marzeniu, osiągnąć szczęście? I—wobec nieuniknionej konieczno-ści cierpienia—konieczności, która wlecze się niewolniczo za bytem ludzkim, jak skutek za przyczyną, jak jęk za bólem, jak cień za światłem—czyż warto żyć?

Warto, stokroć warto! Dla pieszczot matki i swobody dzieciństwa, dla kilku drgnień serca w młodości, a później—dla szczytnych bojów o sprawiedliwość i prawdę, najwyższe ideały ludzkości.

Wszak: „I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeżeli poległ ciałem dał innym szczebel do sławy grodu.“

Zresztą, przeszukawszy zakątki pięknej ziemi i tajniki dusz ludzkich, znajdziemy i szczęście. Tylko—nie to szablonowe, z ro-giem obfitości i zawiązanymi oczyma—lecz w dostojniejszej postaci. Ludzkość cierpi—prawda, ale cierpi dlatego, że błądzi. Błę-dem jej, omamieniem, drogą fałszywą jest szukanie szczęścia w samolubnym używaniu. „Człowiek nie jest stworzony na lzy ni uśmie-chy, ale dla dobra bliźnich—swoich—ludzi“ (Mickiewicz). Szczęście leży nie w ciasnym krę-ceniu się około osi własnych zadowoleń i roz-koszy, lecz w szerokim kole radości i cier-

pień ogółu. Praca dla społeczeństwa, walka ze złem, miłość bliźniego, wyolbrzymiona aż do czynu, do zaparcia, do poświęcenia, wcielanie w życie wielkich ideałów ludzkości, a przytem nieustanne doskonalenie własne—oto zadanie człowieka. I jedyne, godne człowieka, szczęście. Gdy słońce stoi u zenitu, najkrótsze cienie rzuca na ziemię; gdy duch podnosi się na wyżyny, człowiek najmniej odczuwa własną nędzę.

Większość zakrzyknie: „Cóż to za szczęście, równające się niedoli! Chcemy innego, weselszego, bardziej osobistego!”

Niema wyboru, czytelniku! Albo z ciężką myślą i ciasnem, drobnem, jak piastka dziecięcia, sercem, w czterech ścianach domu, pędzić dni sytego zwierzęcia, wyszarpnąć z olbrzymiej całości jakiś nędzny kawałek szczęścia dla własnego użytku, albo zerzrzeć w proch egoizm, sercem „objąć miliony,” a na podkładzie radości i cierpienia społecznych wznosić gmach własnej pomyślności.

Cierpienia boimy się, jak dzieci stracha w ciemnym pokoju, i z lękliwością dzieci uciekamy przed niedolą, zamiast mężnem sercem przyjąć i poznać tę nieuniknioną towarzyszkę. Gdybyśmy wniknęli w głęboką mądrość, jaka tkwi w tem splątaniu niedoli z naszym bytem, ocenilibyśmy należycie zdrową jej gorycz.

Szczęście rozpieszcza, niedola hartuje; szczęście otłuszcza serca, niedola wykuwa dzielne charaktery. Ludzie wybitni zacnością i charakterem—to po większej części wychowańcy nieszczęścia. Perłowiec, zraniony kamieniem, wytwarza perłę; bogactwa ducha i uczuć najczęściej są dziełem mistrza—cierpienia. Gdyby nie chłostała twarda dłoń niedoli, trzódka Epikura ulgnęłaby po uszy w błocie uciechy i zagubiła cechy człowiecze.

Więc, zamiast wyęczać wszystkie siły, aby pochwycić rąbek wzorzystej szaty szczęścia, szukajmy go na drodze najpewniejszej, na drodze wysokiej doskonałości moralnej, do nieszczęścia zaś przemawiajmy słowami Asnyka:

„Pozostań na straży
Mojego życia, jak wierny towarzysz!
Do twojej groźnej przywykłem już twarzy
I do tych ciosów, którymi mnie darzysz;
I skorzystałem wiele z twojej wymowy,
Nauczycielu wielki—choć surowy!”

Gryf.

Z tygodnia na tydzień.

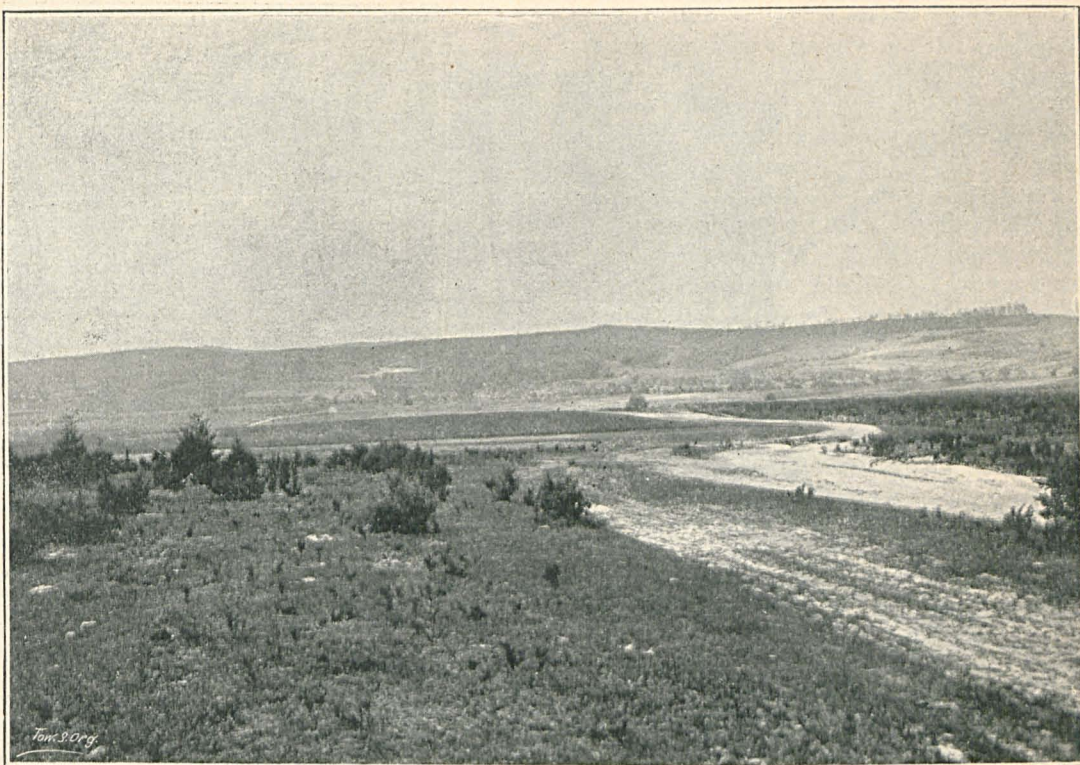
Dar jubileuszowy dla Sienkiewicza.

Na ostatniem posiedzeniu komitetu jubileuszowego pod przewodnictwem J. E. biskupa Ruszkiewicza rozbiegano obszernie projekt kupna wsi Oblagórek, której opis i widoki podajemy niżej.

Komitet, wysłuchawszy relacji delegatów, ks. rektora Chelmskiego i rady Tadeusza Kowalskiego, i porozumiewając się z jubilatą, zdecydował nabycie tego pięknego kawałka ziemi i upoważnił delegatów do udania się ponownie na miejsce w celu ukończenia układów z p. Halikiem, właścicielem obecnym Oblagórka.

We środę wyjechało do Oblagórka grono delegatów i biegłych, złożone z ks. rektora Chelmskiego, rady Tadeusza Kowalskiego, inżyniera Obrębowicza, budowniczego Kudera i ogrodnika Józefa Gebethnera.

Sprawa nabycia daru jubileuszowego jest więc na dobrej drodze. Dodamy tylko, że kupno



Widok ogólny na Oblagórek.

Oblagórka nie wstrzymuje zbierania składek, którego termin kończy się w d. 1 sierpnia. Ponieważ komitet musi wiedzieć dokładnie, jakimi rozporządza funduszami, uprasza przeto wszystkich delegatów, w których ręku znajdują się listy składek, o zwrot ich we właściwym terminie.

Nazwa Oblagórka ma być podobno zmieniona na „Krzemień,” tak popularny z „Rodziny Polanieckich.”



Przyszła siedziba Sienkiewicza.

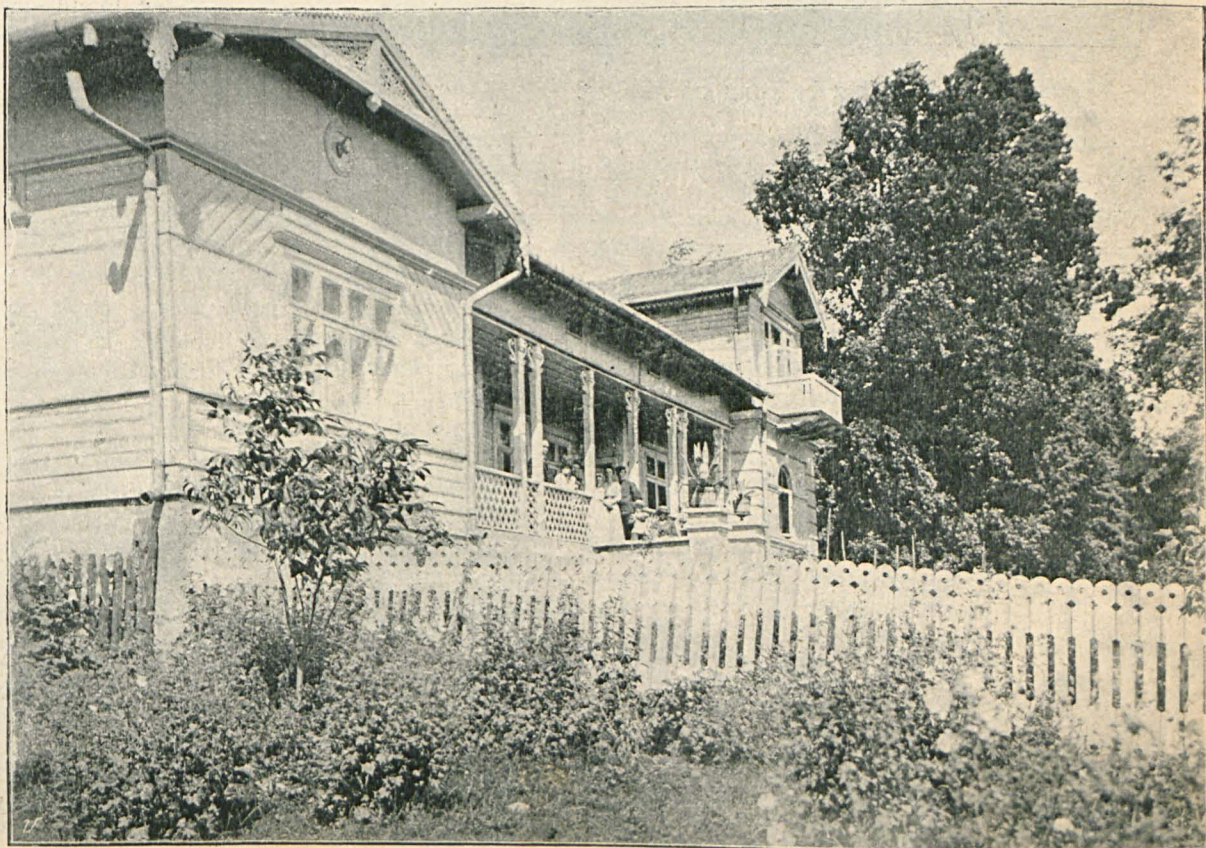
„A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie—twoje wody?...”

Z uczuciem nietajonej radości w sercu wyjeżdżałem w ubiegły piątek, jako wysłannik „Tygodnika Ilustrowanego,” do przyszłej siedziby naszego genialnego jubilata, którą komitet jubileuszowy zamierzył nabyć, jako dar dla autora „Trylogii.”

Całą drogę z Warszawy do Kiele myślałem o Oblagórku, który—że użyję tego porównania—stał się „kwestią” dnia: nazwa nieznanego dawniej zaścianka ziemi Kieleckiej przechodzi dziś z ust do ust i interesuje każdego, komu imię wielkiego pisarza nie jest obojętne. W Kielcach zaraz od prof. Kirchnera dowiaduję się, że Oblagórek przez lat 400 stanowił własność rodziny Tarłów, a musiała to być włość nielada, skoro należały do niej wsie: Chelme, Bugaj, Porzyca, Cierchy, Polichta i inne.

Z dawnego grodu biskupów krakowskich, Kiele, wspólnie z art.-malarzem, p. Sawiczewskim, podążyliśmy d. 13 b. m. do miejsca przeznaczenia. Wygodną szosą piotrkowską jechaliśmy milę.

Naokół, jak okiem sięgnąć, roztacza się malowniczy i właściwy tylko stronom kieleckim widok, zarysowujący się na tle pogodnego, laz-

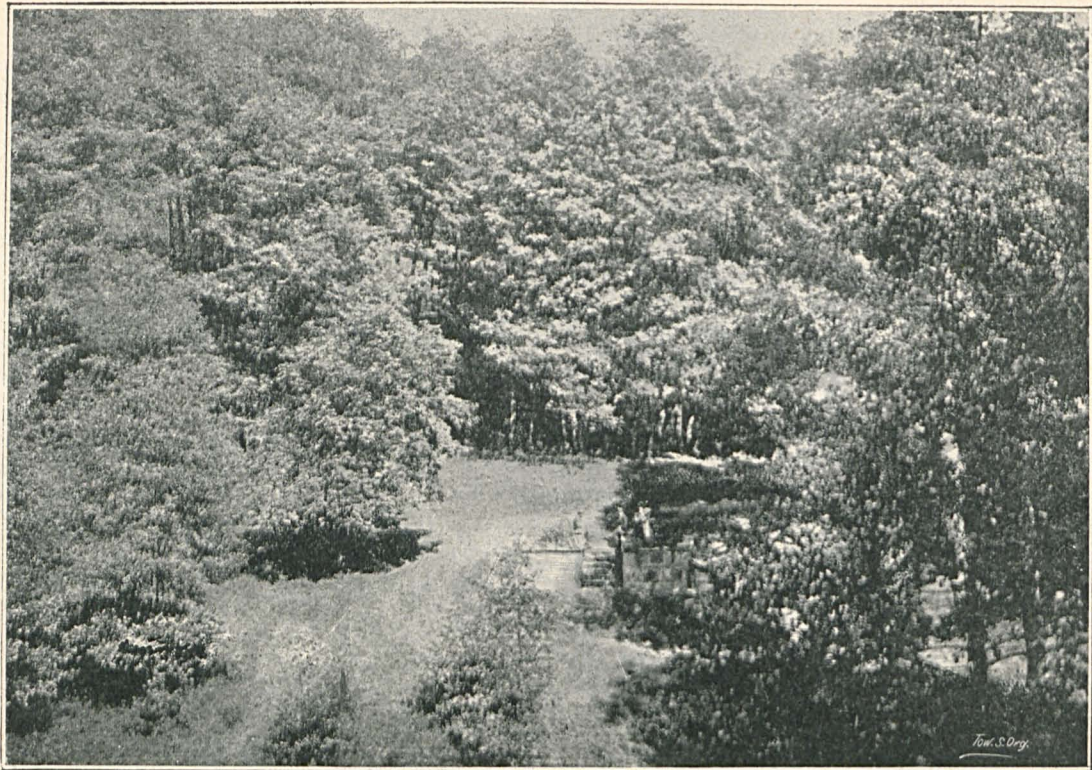


Dwór od strony ogrodu.

rowego nieba malowniczymi konturami wzgórz i lasów. Zaraz za miastem, na lewo, uderza wyniosła Karczówka, z kościołem i dawnym klasztorem O.O. Bernardynów, ulubione miejsce spacerów Kielczan i pobożnych pielgrzymek kompanii, dążących na Kielce do Częstochowy. Uroczą tą miejscowość, z której przy jasnej pogodzie widać o pięć mil odległe góry Ś-to Krzyskie i błyszczący w słońcu krzyż kościoła na Łysicy, należy do piękniejszych pod względem położenia w kraju.

Za Karczówką, bardziej na lewo, unoszą się się kłęby dymu: to góra Kadzielnia za Kielcami, z wielkimi pokładami i piecami wapiennymi, z której wierzchołka doskonale rysują się trzy baszty dawnego zamku królowej Bony w Chęcinach. Wprost nas duża, amfiteatralnie do szosy rozłożona wieś Niewachłów, w której niegdyś znajdowały się wielkie huty do przetapiania miedzi, a dalej wyniosła 984 stopy nad poziom morza Miedziana Góra z kościołkiem i kopalniami obecnie marmuru, a dawniej miedzi krajowej, odkrytej w XVI stuleciu. Stąd Jerzy Radziwiłł, biskup krakowski, przysłał w darze Zygmuntowi III miedź na pokrycie zamku warszawskiego po pożarze w r. 1595. Od biskupów krakowskich przejął kopalnię Stanisław August. Kopalnie w Miedzianej Górze były czynne do r. 1824, w którym wody podziemne przeszkodziły dalszej eksploatacji miedzi. Na prawo od Miedzianej Góry widać, również na górze, śnieżnej białości kaplicę w Kostomłotach.

Na ósmej wiorście szosy skręcamy na lewo: to droga, prowadząca do Oblągórka, ciężka, bo piaszczysta i kamienista, kręci się wśród wąwozów.



Motyw z parku w Oblągórku.

zdjęcie fotograficzne, a ja zapisuję: „Widok Oblągórka od strony wjazdu z Kielc.”

Zgóry wjeżdżamy w wąwóz, naokół którego rozłożyła się malowniczo po obu stronach wioska, ze stawem przy drodze, cała zadrzewiona. Za chwilę, aleją topolową i lipową wjeżdżamy w zabudowania folwarczne i stajemy przed dworem. Boczna fasada zdobią popiersia naszych wielkich poetów: Mickiewicza i Słowackiego.

Dwór nowy, zbudowany przez obecnego właściciela, p. regenta Halikę, w r. 1895, wygodny i obszerny, z gankiem od frontu i dużą werendą z tyłu, od strony ogrodu.

— Więc to tu—myślałem—wielki pisarz odpoczywać będzie po znoej a owocnej pracy!

Rzucam okiem z werendy: widok prześliczny—wzgórza i lasy, na ostatnim planie

ruiny zamku Chęcińskiego. Z wyniosłości, na której znajduje się dwór i zabudowania gospodarskie, spuszcza się na dół wśród gąszczy drzew, niegdyś zaaklimatyzowanych tutaj. Jako ślady tej aklimatyzacji pozostały gdzieś tam platany i „tulipańce,” jak miejscowi ten gatunek drzewa nazywają, ze względu na podobieństwo kwiatu do naszych tulipanów.

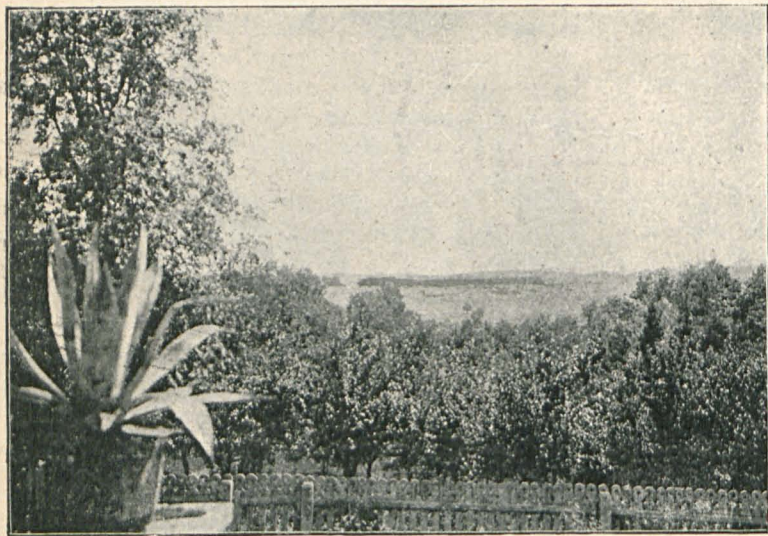
W dolinie parkowej, przykuwa oko widok omurowanego źródła. Niegdyś była tu urządzona wspaniała kaskada, ozdobiona kolumnami i posągami kamiennymi. Dziś z dawnej wspaniałości pozostały tylko wałace się mury. Duży kwadratowy basen zawiera prze-

zroczystą, bijącą z pod ziemi wodę, czystą jak iza i nader przyjemną w smaku. Źródło to nigdy nie zamarza w zimie, a dolina jego jest najpiękniejszą ozdobą 17-morgowego parku oblągórskiego, z którego na każdym kroku wyłaniają się zachwycające na daleką okolicę widoki. Cisza i niczem nie zamacony spokój, jaki panuje w Oblągórku, przy tak sowitem obdarzeniu przez naturę—tworzą istne „schronienie” przed zgiełkiem i życiem wielkomiejskim, a niebotyczne drzewa parku, wśród których przechowało się sporo okazałych modrzewiów, szelest liści, niby opowiadanie starych bardów, niosące wspomnienia lat ubiegłych, znakomicie usposabiają do marzeń i dumań. I nie wątpimy, że z doliny oblągórskiej, z pod cienia drzew tego zasłużonego schronienia, wielki nasz pisarz zaczerpnie niejedno natchnienie, i niejedno wspaniałe dzieło, na chwałę literatury polskiej, wyjdzie z tej siedziby rozkosznej.

Dawne zapomniane gniazdo Tarłów, z którego wychodzili dzielni bohaterowie, zabłyśnie nanowem sławą, jaką nań rzuci geniusz i talent Sienkiewicza.

A naród cały, który przyczynił się swym groszem do tego daru jubileuszowego, chlubić i cieszyć się będzie z tego, że taki piękny zakątek ziemi naszej dostał się w godne, dobre i zasłużone ręce...

A. Eada.



Widok z balkonu na okolicę.

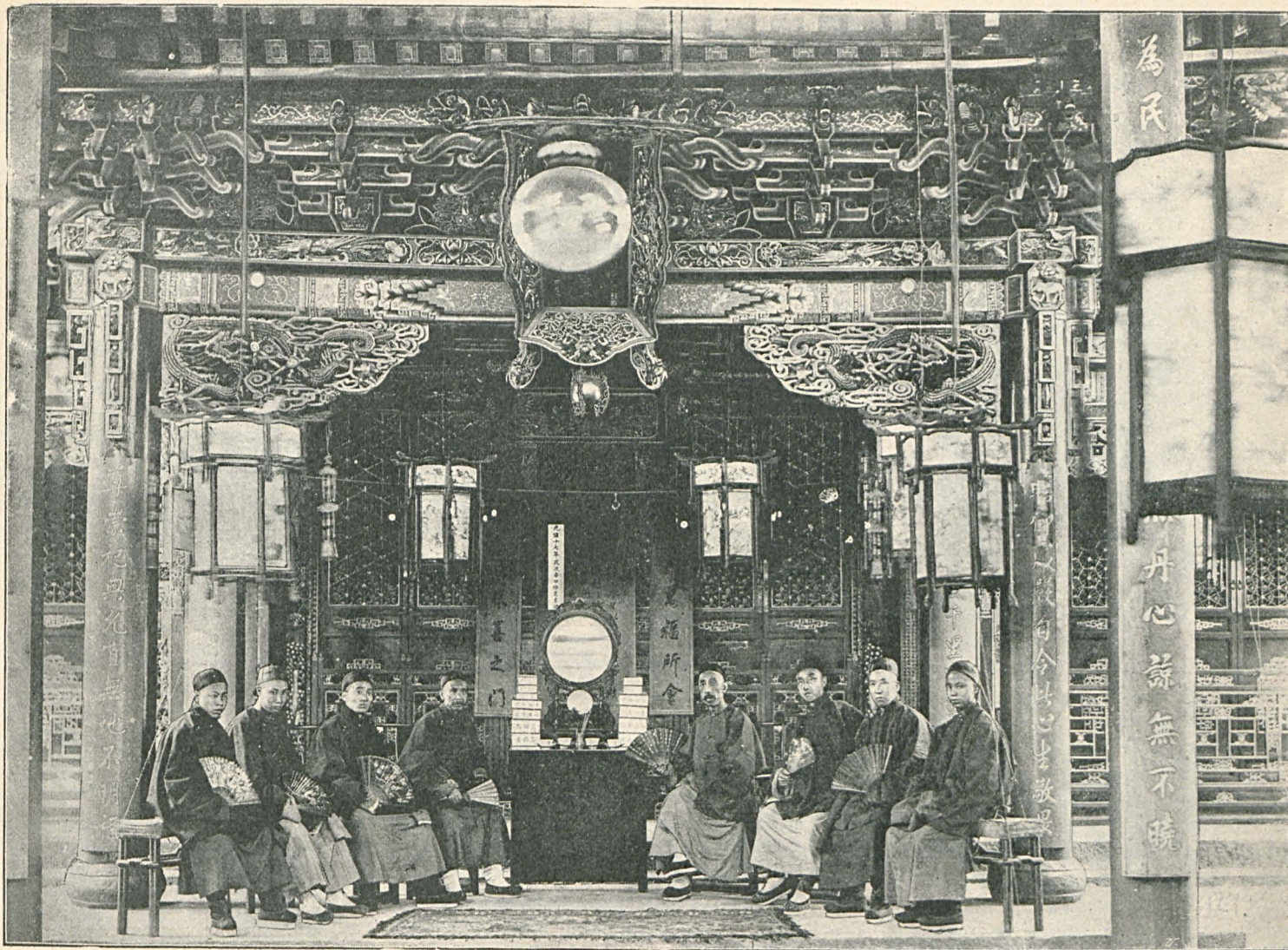
Niewygodny po niej przejazd wynagradza malowniczy widok na okolicę. Na prawo ciągnie się jak ściana o charakterystycznej barwie brązowej, pokryta miejscami lasem, wspomniana już Miedziana Góra, na lewo zaś na wyniosłym wzgórzu panuje nad całą okolicą ładnie zbudowany kościół z XVI w. w Chęmcach, stanowiący przyszłą parafię Sienkiewicza. Za Chęciami wjeżdża się w uroczy las osady Laskowej. Chłodzący cień wyniosłych jodeł i świerków, oraz woń balsamiczna, właściwa lasom iglastym, przyjemnie usposabia przyjezdnych. Za lasem malownicza wioska Bugaj, w nizinie, przez którą wije się wartka rzeczka, biorąca swój początek ze źródła w parku oblągórskim.

Pniemy się pod górę, przejeżdżamy istotnie niewielki las, i oczom naszym ukazuje się w całej okazałości cel wycieczki. Piękna dolina łączna, wijąca się z góry droga, białe mury kapliczki przydrożnej, rzeczka i gąszcz parku, a dalej porośnięte lasem szczyty Baraniej Góry—tworzą pierwszy plan widoku.

Stajemy. Towarzysz podróży robi pierwsze



Widok wsi Oblągórka.



WNĘTRZE ŚWIĄTYNI W MAJMACZYNIE.

Z pogranicza Mongolii.

II.

Drugim reprezentantem Buddy na ziemi jest w Urdre mieszkający Gegen, którego w ten sam sposób, jak Dalaj-lamę w Tybecie wybierają. Posiadanie własnego boga kosztuje Mongołów bardzo drogo; samo już sprowadzenie go z Lassy kosztuje kilkaset tysięcy rubli. Rząd chiński nosi się z myślą zagarnienia pieniędzy, które Mongołowie wydają na utrzymanie Gegena, gdyż przed 126-u laty pozwolił tylko na 7-ju jeszcze. Poprzedników dzisiejszego Gegena, który jest 8-ym i ostatnim, karmiono tak niehygienicznie, że umierali w bardzo młodym wieku; „menu“ układali, jak się zdaje Chińczycy, którzy możliwie prędko starali się ich pozbyć. Teraźniejszy Gegen ma lat 27, z chwilą jego śmierci wybuchnie zapewne powstanie, do którego już teraz się Mongołowie przygotowują. Dowiedziałem się z bardzo kompetentnego źródła, że lamowie, którym nie wolno polować, kupują po 30 pudów prochu i zaopatrują się w karabiny najnowszych systemów; pracują również nad ufortyfikowaniem Urgi.

Gegen ma europejskie gusta, i gdyby nie niewola, w jakiej go trzymają, byłby z pewnością już dawno wybrał się w podróż naokoło świata. Nudzi się biedak, by się więc rozzerwać, skupuje wszystko, co może mu sprawić rozrywkę; kupił np. zeszłego roku, za pośrednictwem rosyjskiego kupca, słonia za 12,000 rubli, przed kilku miesiącami obstał mechaniczne organy za 50,000 rub., posiada kinematograf, telefony, aparaty fotograficzne, powozy petersburskie, niezliczoną ilość zegarków, strzelb, rewolwerów i innych

przedmiotów, które mu w darze ze wszystkich stron Mongołowie i Buryaci przywożą, lub też rosyjscy kupcy za drogie pieniądze dostarczają. Po Bochdo-Gegenie pierwsze miejsce zajmuje Darche-lama, t. j. patriarcha Mongolii.



Darche Lama z towarzyszem.

Lamom, w szczególności zaś tak świętemu mężowi, jak Dalaj-lama, nie wolno się żenić; pomimo to teraźniejszy Dalaj-lama posiada już drugą z rzędu małżonkę, która uchodzi za jedną z najpiękniejszych Mongołek. Na pierwszej z załączonych fotografii widzimy ją jako młodą dziewczynę, na drugiej jako kochankę, a w końcu na trzeciej—jako prawą małżonkę Darche-Lamy, w bogatym kostiumie (zwracam uwagę na różnicę w nakryciu głowy i kostiumie).

Śluby w Mongolii są prostym aktem kupna i sprzedaży, a rozwód jest także niesłychanie łatwy; każda zameżna kobieta nosi na plecach przyszyty kawałek materii jedwabnej; zerwanie jej przez męża oznacza, że przestała być jego żoną, i na tem koniec.

Mongołowie z oszczędności jedną zwykli tylko mieć małżonkę, książęta mają po kilka, ale tylko dzieci pierwszej żony są uprawnione do następstwa.

Pierwsza żona książąt mongolskich pochodzi przeważnie z chińskiej rodziny panującej, Bochdo-chan (cesarz chiński) bowiem, chcąc zapewnić sobie posiadanie Mongolii, łączy się węzłami pokrewieństwa z jej książętami.

Pod względem wykształcenia nie stoją książęta o wiele wyżej od prostych Mongołów; za to otoczenie ich składa się z ludzi bardzo inteligentnych i wykształconych (naturalnie w porównaniu z ogółem). Nie przeszkadza to jednak książętom pastwić się nad nimi w nielitościwy sposób. Przytoczę przykład:



Kochanka Darche Lamy.



Narieczona Darche Lamy.



Żona Darche Lamy.

Do jednego z bogatych kupców przyjechał w odwiedziny o sto kilkadziesiąt wiorst od Kiachty mieszkający książę w otoczeniu licznej świty; podczas obiadu, skosztowawszy angielskiej musztardy, smarował nią kawałki chleba i rozdawał swym towarzyszom, którzy, dusząc się i obficie lzy lejąc, musieli po kilka kawałków zjeść.

Bracia książąt panujących poświęcają się stanowi kapłańskiemu. Są oni względnie bardzo wykształceni; znają dokładnie literaturę tybetańską i posiadają pewne formy towarzyskie: umieją np. obchodzić się z nożem i widelcem.

Miałem raz z bratem jednego księcia kilkogodzinną konwersację i dowiedziałem się od niego wielu interesujących rzeczy. I tak powiedział mi, że mieszka na dalekim Zachodzie wielki naród mongolski (nazywają ich Wielcy Mongołowie). Myślałem początkowo, że ma na myśli Kałmuków z nad Wołgi; zapewnił mnie jednak, że Kałmuków zna, gdyż bywają w Tybecie, naród ów zaś mieszka o wiele dalej jeszcze, muszą to więc być Madziarowie. Opowiadał mi dalej, że książęta mongolscy wywodzą ród swój w prostej linii od Batuchana i na dowód tego przechowują broń i różne inne przedmioty, które Batu z dalekiego przywiózł Zachodu.

Pewien uczony austriacki, z którym poznałem się w Kiachcie, zapewnił mnie, że w jednym dacie niedaleko Urgi widział broń węgierską z XIII wieku. Wielka szkoda, że Zichy odstąpił

od zamiaru robienia poszukiwań w Mongolii i zadowolili się tylko zwiedzeniem arcy mało interesujących miast syberyjskich. Język węgierski zdaniem lam jest bardzo podobny do tybetańskiego, co także podzielam, ale nie będąc filologiem, nie mogę dostarczyć dowodów. Dowiedziałem się o ciekawej przepowiedni: w niedalekiej przyszłości będzie wojna, Rosya złączy się z Mongołami i pokona Chiny.

Przyjemną rzeczą jest dla podróżnika, że na pierwszy rzut oka poznać może, z kim ma do czynienia, gdyż Mongołowie na swych wysokich czapkach noszą guzik, oznaczający rangę: mosiężny to „Kunduj”—podoficer, biały to „Dżendin”—pomocnik kapitana, szklany przezroczysty — kapitan, ciemno niebieski—urzędnik III klasy, jasno niebieski—urzędnik I klasy, czerwony—„Tułacheza”—pomocnik księcia. Książę ma szary guzik z kamienia „Bałmarga”: poznać pana po guziku!

W końcu słów kilka o Kiachcie: ilustracja wyobraża „Gostinnyj dwor,” magazyn, w którym mieszczą się setki tysięcy pudów herbaty. Kiachta dziś jeszcze jest, po Hankowie (Chiny), ważnym punktem handlu herbatą, ale jak tylko ukończoną będzie kolej żelazna syberyjska i mandżurska, zupełnie straci znaczenie, kolej bowiem będzie transport o wiele tańszy, niż drogą karawanową. Są w Kiachcie kupcy, których obrót roczny wynosi kilka milionów.

Chociaż w niedalekiej przyszłości czeka Kiachtę pewna ruina, nikt tu o tem nie myśli; żyją sobie wesoło, nie myśląc o przyszłości. Jakie znaczenie miała niegdyś Kiachta, dowodzi to, że ceny towarów na jarmarku w N.-Nowgorodzie zależały od ceny kiachtyńskiej herbaty, (sprowadzanej za pośrednictwem kupców w Kiachcie), która tu najważniejszą grała rolę.

Kupcy w Kiachcie zajmowali się wtenczas wyłącznie prawie handlem zamiennym: zamieniano rosyjskie wyroby, z małym dodatkiem złota, na herbatę. Ogół bardzo cierpiał, gdyż ceny herbaty, a więc naturalnie i innych towarów (dzięki monopolizacji handlu przez kiachtyńskich kupców), były nadzwyczaj wysokie. Rząd rosyjski zaczął od r. 1861 dokładać starań, by herbatę tak zwaną kantońską przez zachodnią granicę przywożono, dzięki czemu straciła Kiachta w ostatnim 20-leciu swój wpływ na jarmark w N.-Nowgorodzie; ale i jarmark zaczął upadać, czego najlepszym dowodem są zestawienia statystyczne: w roku 1860 przywieziono towarów za 104 miliony rubli, w roku 1879 za 180 miliony rubli, a sprzedano za 163; w r. 1896 przywieziono za 176 mil. rub., sprzedano za 153,338,000; w r. 1897 przywieziono towarów za 165 mil. rub., sprzedano za 142,754,000; wartość przywożonych towarów zmniejszyła się od r. 1879 o 15 milionów, wartość zaś sprzedanych towarów zmniejszyła się od r. 1879 o 20,246,000 rubli.

JÓZEF BÁNHIDY.

EGZOTYZM, REALIZM I LEGENDA.

Z POWODU „PORACHUNKÓW” p. A. SYGIETYŃSKIEGO.

Pan Sygietyński twierdzi, że Kiplinga*) nie można zestawiać z Sieroszewskim, ani Lotim—bo to, rzekomo, wielkości niewymierne, ale należy go zestawiać z Dygasińskim. Działalność Kiplinga była, jakżeśmy widzieli, tak różnorodną, że można

*) Jak podaje Encykl. Brockhousa (1894), Kipling kształcił się i wychowywał w Anglii (w Southport); dopiero w roku 1882 powrócił do Indyi, skąd po 10 latach przeniósł się na stały pobyt do Ameryki Północnej. Jeżeli te informacje są dokładne, to nie tylko pod względem duchowym, lecz i pod fizycznym nawet, Indye byłyby dla Kiplinga krajem „egzotycznym,” nie istotną ojczyzną.

go zestawiać nie tylko z wymienionymi pisarzami, lecz i z wielu innymi, jak z Dickensem, Poëm, Swiftem etc.

Co do Dygasińskiego, to „Księga Puszczy” niewątpliwie nadaje się doskonale do zestawienia z nowelami zwierzęcymi autora „Łabędziej wody.” W przedmowie do „Księgi Puszczy” wspomniałem o tem *nawiasowo*, gdyż, pisząc krótką przedmowę do Kiplinga, nie mogłem zamieniać jej na przedmowę do Dygasińskiego.

Gdybym jednak to zestawienie zrobił, doszedłbym do wniosku, że przy równych, mniej więcej, warunkach artystycznych, pisarz polski,

rozporządzając mniej rozległym i nie tak malowniczym materiałem obserwacyjnym, potrafił wydobyc z niego większą sumę wzruszeń, i w dodatku wzruszeń subtelniejszych i głębszych, niżeli autor angielski.

Pochodzi to stąd, że Kipling, przy wielkim talencie plastycznym, nie posiada prawie wcale uczucia i drwi ze wszystkich ideałów, prócz kultu energii i odwagi, a wskutek tego ludzi, zwłaszcza ras obcych, jak i zwierzęta, traktuje z pewną ironiczną obojętnością, gdy Dygasiński owiewa swoje modele ciepłem szczerzej sympatii—co bezwa-



runkowo wpływa ożywczo na stronę artystyczną utworów.

* * *
Co do wyrażenia: „na mniejszą skalę,“ którego użyłem w przedmowie — to stosowało się ono nie do wewnętrznej, artystycznej, lecz do czysto zewnętrznej, materialnej, „zoologicznej,“ że tak powiem, strony twórczości Dygasińskiego. Widać to zresztą z dalszego ciągu zdania: „gdyż nie rozporządzał tak bogatym materiałem obserwacyjnym.“ To znaczy:

gdyby, zamiast ubogiej fauny naszego podwórka i pola, Dygasiński miał do czynienia, jak Kipling, z przebogatą fauną dziewiczych lasów zwrotnikowych, olbrzymich gór, rzek, jezior, bagien i oceanów — rozszerzyłby znacznie zakres swoich obserwacji i galerię typów zwierzęcych.

Kipling mógł się pokusić o syntezę życia zwierzęcego na „szerszą skalę,“ gdyż znalazł w puszczech i w oceanie wszystkie ogniwa łańcucha ewolucyjnego, poczynając od istot niższego rzędu, a skończywszy na czworonogach, Dygasiński, odtwarzający życie kilku zaledwie gatunków strefy umiarkowanej, musiał się z konieczności zamknąć w ciasniejszej ramie. To fakt, na który zwróciłem nawiasowo uwagę, ale stwierdzenie faktu nie jest jeszcze sądem, nie jest wnioskiem, ani oceną krytyczną.

Dopatrzyć się w tej uwadze czegoś uwłaczającego autorowi naszemu, dla którego, i jako dla człowieka, i jako dla pisarza, żywzię najgłębszy szacunek i największą sympatię — mogło tylko złośliwe uprzedzenie.

* * *
Tego, że fauna zwrotnikowa jest ilościowo bogatsza od naszej — dowodzić chyba nie potrzebuje.

Co do jakości — to, zostawiwszy tymczasem na stronie przedmiotową stronę kwestyi, ośmielę się twierdzić, że sąd o tem zależy także od subiektywnego upodobania, czyli, jak się mówi popularnie: od „gustu.“ Jeżeli ktoś przynosi słonia nad wieprza, krokodyla nad żabę, a tygrysa nad wilka, to nie wystawia

sobie przez to świadectwa ubóstwa umysłowego, ani też nie zasługuje na miano złego obywatela. Każdemu wolno bez obrazy ideałów estetycznych i społecznych głosić, że egzotyczny ananas jest smaczniejszy od gruszki, cygaro hawańskie od machorki, a chińska herbata od kwiatu lipowego. Podobnie koń arab-

ski wydaje się większości znawców piękniejszym od szkapki chłopskiej, wyżeł angielski od kundla. Czyż to zbrodnia?

Jeżeli zaś pod piórem poety kundel stanie się piękniejszym od lwa, będzie to zasługą poety, nie kundla. W rzeczywistości kundel pozostanie kundlem, a lew — lwem, t. j. jednym z najpotężniejszych i najpiękniej ukształtowanych zwierząt.

Pan Sygietyński zrobił z mizernego skałotoca małe arcydzieło; czyż skałotocz jednak zrównał się przez to pod względem anatomicznym i psychologicznym już nie ze słoniem, ale choćby z żabą? I czy żywot tego zacnego małża mógłby dostarczyć tematu do romansu na szeroką skalę?

Mówiąc o pięknie, trzeba zawsze dodawać, jakie piękno ma się na myśli: artystyczne czy naturalne. Wobec krytyki estetycznej, wszystkie tematy są równe, gdyż z każdego wysilek artysty może zrobić arcydzieło. Ale jak równość wobec prawa nie znosi nierówności w życiu, tak i doskonałość arcydzieł nie znosi nierówności ich realnych modeli. Portret pięknej kobiety może być gorszym od portretu kobiety brzydkiej, ale kobieta piękna jest piękną, a brzydka — brzydką. Romans o życiu przeciętnego aptekarza może być lepszym od romansu o życiu Napoleona lub Byrona, ale Napoleon i Byron stoją wyżej od przeciętnego aptekarza. Powieść na tle stosunków sochaczewskich może być wyższą artystycznie od powieści na tle stosunków warszawskich lub paryskich, ale skala stosunków sochaczewskich jest niższa od skali stosunków paryskich i t. p.

A jeżeli, przy równej wartości artystycznej dwóch romansów, romans, odtwarzający szersze sfery życia lub też posiadający wyższych duchowo bohaterów, jeżeli taki romans więcej obudzi zajęcia — czyż to będzie dowodem niższości umysłowej jego zwolenników?

Czyż ktoś, co przynosi „Quo vadis“ nad „Rodzinę Połanieckich,“ „Hamleta“ nad „Kupca weneckiego,“ „Pana Tadeusza“ nad „Warcaby,“ „Króla Ducha“ nad „Żmiję,“ „Germinala“ nad „Au bonheur des Dames“ — składa dowód złego smaku?



Wszystko to dowodzi, że aczkolwiek z każdego tematu można zrobić arcydzieło, są tematy bogatsze i uboższe, ciasniejsze i szersze.

Że o wartości estetycznej dzieła sztuki decyduje nie bogactwo tematu, lecz bogactwo indywidualności duchowej artysty — to inna kwestya. Fuszer może zbanalizować Prometeusza, a geniusz odkryć krynicę piękna w sereu idyoty, lub zbrodniarza, to prawda; ale Prometeusz, jako typ estetyczny, rozpatrywany sam w sobie, jest nieskończenie wyższy od złodzieja i półgłówka.

Ocena tematu więc nie jest równoznaczna z oceną dzieła sztuki, opartego na tym temacie.

* * *

Porównywając Dygasińskiego z Kiplingiem, nie twierdziłem, że pisarz polski jest niższy pod jakimkolwiek względem od angielskiego, lecz że miał do rozporządzenia uboższy i nie tak wdzięczny materiał surowy. Co pod tem rozumiem, wyjaśniłem wyżej.

Idzie teraz o to, czy materiał zoologiczny Kiplinga był rzeczywiście bogatszy nie tylko ilościowo, co nie ulega wątpliwości, lecz i jakościowo.

Pan Sygietyński twierdzi, że nie, dodając z ironią, że nasi krytycy i czytelnicy znajdują się w epoce „dzieciństwa umysłowego“ i wskutek tego, lekceważąc konie fornałskie i chłopów „naszych,“ zachwycają się słoniami i Hindami. Bardzo pięknie. Jest to opinia równie dobra, jak każda inna, należałoby tylko zarzut „dzieciństwa umysłowego“ rozszerzyć na całą Europę, ba! na cały świat cywilizowany, którego czytelnicy i krytycy zachwycają się słoniami i tygrysami Kiplinga „stokroć więcej,“ niż my.

Ale mniejsza o to; sądy i upodobania zagranicy nie powinny być dla nas dogmatami, na to godzę się najzupełniej. Dziwię się tylko, że p. Sygietyński, polemizując ze mną, wciągnął do dyskusyi „naszego“ chłopca, kiedy ja w przedmowie do „Księgi puszczy“ nie wspominałem o chłopie. Wprowadzenie tego „sentymentalnego“ motywu jest widocznie „fortelem“ polemicznym, obliczonym na wrażliwość galerii.

Muszę, niestety, zepsuć ten efekt kategorię oświadczeniem, którego wiarygodność może każdy sprawdzić w książce, że we wzmiance, dotyczącej nowel Dygasińskiego, mówiłem jasno i wyraźnie tylko i wyłącznie o zwierzętach, nie o ludziach, i że nigdy i nigdzie nie porównywałem chłopca polskiego, czy jakiegokolwiek, z Hindem.

Zarzutu więc „lekceważenia chłopca polskiego“ przyjąć nie mogę i zwracam go pod adresem p. Sygietyńskiego, który, ujmuąc się za „chłopem polskim“ jako krytyk, odtwarzał sam, jako powieściopisarz, życie rybaków francuskich (Na skałach Calvados), lub wieśniaków włoskich (Gemma).

Kto potępia tak surowo zamiłowanie do tematów obcych, nie powinien dawać sam złego przykładu!

Ja zresztą osobiście nie mam do p. Sygietyńskiego o to pretensyi i zgadzam się z Chmielowskim, który, w przedmowie do „Drobiazgów“ mego przeciwnika, powiada, że „temat obcy z ogólnie artystycznego punktu widzenia nie może stanowić zarzutu uprawnionego, artyści bowiem brali i brać będą do obrobienia wątek ze wszystkich stron świata i ze wszystkich czasów.“

DCN

JGNACY MATUSZEWSKI.

Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

8).



uliła się do Jadwigi i z uniesieniem całowała jej dłonie, powtarzając:

— O jakże ja cię miłuję, jak miłuję!

Jadwiga zaś, pochylając się ku niej, szeptała z uśmiechem:

— A ów rycerz młody, pamiętasz? na budzińskim zamku, który twoje barwy wziął, wstęgę białą, i kopie dzielnie kruszył, i pierścień od ciebie otrzymał? Cóż z nim? Nie miłujesz-że go już?

Twarc Reginki pokraśniała, ale przybrała wyraz smutny.

— Bolko!...—westchnęło dziewczę—tyle czasu minęło, a o nim wieści niema! Myślę o nim ciągle, mniemałam, że go tu ujrę, bo z Krakowa był, i z tem większą radością śpieszyłam tu z tobą, królowo... Ano, napróżno, ni wieści, ni słychnu...

Pochyliła główkę na piersi. A Jadwiga, wracając z rozkoszą do wspomnień dawnych, mówiła dalej:

— Pomnę go, tego Bolka twego... byli to i dla mnie szczęśliwe dni... Toż wszystko, co działo się wówczas, wraca do mnie wyraźne, jasne, w utęsknieniu dzisiejszem. Pomnę rycerzyka twego... piękny był.

Reginka błyszczący wzrok podniosła.

— Miał—rzekła—takie oczy wielkie, czarne, które zdawały się gorzeć... Ale twarz miał bardzo bladą i uśmiech smutny...

Teraz obie, uniesione wspomnieniami, jak dzieci szebiotać poczęły.

— A pomnisz?—pytała Jadwiga—jak po turniejach owych, w których ten Bolko twój dwa razy po trzy kopie zwycięsko skruszył, była uczta na zamku...

— Pomnę! a potem płasy... Królowa matka zezwoliła... Widzę ciebie, pani, z księżciem Wilhelmem.

— A ja ciebie z rycerzykiem Bolkiem.

— Wówczas na jego prośbę dałam mu pierścień mój złoty, a on rzekł, że go nie opuści do śmierci, a gdy wróci z rycerskiej wędrowki, przysła mi go na znak, że wrócił wierny swej przysiędze... A oto go niema!...

Reginka znów posmutniała i zamilkła, a królowa pochyliła się ku niej, jak pierwiej, i gładząc złote włosy dziewczęcia, żartobliwie szepnęła:

— Do Bolka tęsknisz, a pieśni Siemka słuchasz. A jakóż to być może?

Reginka porwała się z miejsca i tem pytaniem rozbawiona zaśmiała się w głos.

— To cale co innego!—zawołała.—Tamten to rycerz mój i pan, o którym gdy myślę, to porywa mnie tęsknota i ogarnia smutek. A Siemko—to paż mój złotowłosy, lutniści nadworny... sługa i niewolnik! który zabawia...

Klasnęła w drobne dłonie i, zbywszy się

nagle wszelkich myśli ponurych, swawolnie po komnacie pisać poczęła.

A potem znowu przypadła do ręki Jadwigi.

Królowa zaś patrzyła na nią z dobrotliwym uśmiechem.

— Tyś jest—rzekła zwolna—jak promyczek szczęścia.

Reginka podniosła na nią rozpromienioną twarz:

— Królowo moja!—szepnęła—ty wiesz wszystko, tobie mądrość dał Bóg, więc powiedz: zali Bolko wróci?... zali wróci rychło? Bo jeśli nie wróci, to promyczek zgaśnie!

Jadwiga odpowiedzieć chciała, gdy wtem pani Beska, sprowadzona snadź weśołymi płasami i szebiotem Reginki, weszła do komnaty i z uszanowaniem, ale stanowczo oznajmiła, że godzina już późna, i na spoczynek czas...

II.

Nawet sam Spytko z Melsztyna nie spodziewał się, iż odpowiedź królowej Elżbiety, dana poselstwu litewsko-polskiemu, będzie tak dla swadźby Jagiełłowej przychylną. Królowa matka, zatrwożona snadź niepokojami, panującymi podówczas na Węgrzech, zniechęcona do starszego zięcia swego Luksemburczyka Zygmunta, przeciw któremu zwracało się oburzenie powszechne, a przeto w lęku o tron własny i życie, zdjęta nieufnością i do rakuskiego dworu, nie myślała już popierać księżęcia Wilhelma. Na usilne przeto przedstawienia panów litewskich i polskich, wzruszona składną przemową księżęcia Butawa Henryka Kiejstutowicza, który jako wychowany na cesarskim dworze, umiał ozdobnych używać wyrazów, widząc też rzeczywiste wzmocnienie tronu Jadwigi w związku z wielkim księciem litewskim, odparła, jako szczęśliwości kojarzących się narodów przeciwieć się nie chce i na wszystko przyzwala, co będzie wolą Jadwigi.

Zdziwowała mocno polskich prałatów i panów i przeraziła Jadwigę ta odpowiedź matki. Gdy jednak najpoważniejsi doradcy, jak oto: Dobiesław z Kurozwęk, Dymitr z Goraja, Nawój i inni—namawiać ją coraz usilniej poczęli, przeciwieć się nie śmiała, a gdy nadto Gniewosz z Dalewic i Paweł Gryfita, którzy do księżęcia Wilhelma potajemnie się udali, nie dawali o sobie żadnej wieści, odrzekła, jako zawsze gotowa jest poddać się woli Bożej i narodu, oraz rozkazaniom macierzy.

Zatem wyprawiono do wielkiego księcia litewskiego wspaniałe poselstwo, do którego przyłączyli się i panowie węgierscy.

Uspokoilo się nieco w Krakowie, gdy tłuszcza saraceńska, jak ją Przecław zwał, opuściła jego mury.

— To są dzikie hordy!—mówił nieprzekonany do Nawoja.—Zaleją nas i zgniotą.

Ksiądz zaś dalszego sporu toczyć już nie chciał, jeno wciąż przypominał Przecławowi przyrzeczenie, iż połączeniu z Litwą przeszkadzać nie będzie. Stary rycerz tem słowem związany, milczał; nawet na zjeździe panów i szlachty, uczynionym czasu tego w Krakowie, nie poparł tych, którzy przeciw Jagielle występowali, ale zżymał się w duchu na sprośne pogaństwo i przed Nawojem żale swe wypowiadał.

— Przeciw pogaństwu walczyć, bałwochwalce wykorzeniać przesady—mówił ksiądz—to wam wolno, a nawet to obowiązek wasz, lecz nie wolno przeciw woli Bożej iść i przeszkadzać pochodowi światła.

Wawelski, coraz bardziej niespokojny w sobie, iż nie mógł doczekać się powrotu syna, o którym nawet wieści żadnej nie było, a skruszony napomnieniami Nawoja, na modlitwie teraz po świątnicach czas spędzał, wieczorami zaś szedł tam, kędy młódz rycerska i bogatsza mieszczańska dla zabawy gromadzić się zwykła, iżby przystojności tych zabaw strzedz, a opowieściami z lat dawnych budzić w młodocianych głowach poważniejsze myśli.

— Ty teraz—rzekł mu raz ksiądz Nawój—w każdym młodzianku swego zaginionego synaczka widzieć masz, a słowem poważnem i roztropnem takim go czynić, jakimbyś Bolka swego ujrzeć i odzyskać pragnął.

Nawój, cały przenikniony myślą ochrzczenia pogańskiej Litwy, wyznawał teraz i nauczał głośno, że naród, który takie apostołstwo spełnić miał, winien stać się sam niepokalanie czystym, iżby łaska Boża w nim i przez niego działać i krzewić się mogła.

— Nie zdołali—wołał—nawrócić pogan litewskich Krzyżacy, a zaszczerpione tu i owdzie przez nich krześcijaństwo wnet w manichejskie lub inne przeradza się sekty, albowiem w tym dawnym Zakonie rycerskim rozpanoszyła się pycha i sromotność wszelaka, a duch Boży pierzchnął. Naszemu to spełnić sędzono narodowi i tej jasnej a czystej dziewczeczce, która naszą królową jest. Rycerzów zaś prawych, jako ty, Przecławie, powinnością teraz słowem i przykładem młodzi przyświecać, uczyć obyczajów dobrych, karcieć swawolę, która się do cechów mieszczańskich i do gospód zakradła. Tak czyń, Przecławie, a odnajdziesz synaczka swego.

Stary rycerz wziął sobie bardzo do serca te słowa, i z niemłym podziwem widziałno go teraz często w piwnicy radnej w ratuszu, kędy schodzili się tłumnie seniorowie i rajcy na pogwarki o sprawach miejskich. Z początku chciano zabronić mu wstępu, zwłaszcza młodzi krzyk podnieśli, jako to jest zwyczajom przeciwnie, iżby człek rycer-

ski przysłuchiwał się miejskim obradom lub w nich udział brał. Ale seniorowie, którzy zdawna Przeclawą znali i w wielkim mieli poważaniu, nakazali milczenie, a konsul Andrzej Wersing, czyli Wierzynek, spór rozstrzygnął, mówiąc:

— *Habet jus, hic natus est!*

Odtąd nikt już Przeclawowi wstępu nie bronił, on zaś korzystając z posłuchu, nie jedną radę dał, iżby dobre obyczaje w cechach, a porządek w mieście utrzymać. Za jego to przyczyną ponowiono różne wilkierze przeciwko zbytkom i swawoli, a wydano nowe, jak o uposażeniu i porządku szkoły przy kościele Panny Maryi.

Z takowego pożytku radował się niemało ksiądz Nawój i błogosławił Przeclawowi, zachęcając, iżby nie ustawał w pracy.

Była też w grodzkim kwartale, w kąciku ulicy Grodzkiej, jedna gospoda, która w ostatnich czasach stała się głośną, z powodu, iż tam książe Skirgiełło, brat Jagiełły, mieszkanie sobie był obrał i pijatyki wyprawiał, i że do niej najczęściej uczęszczała młodź rycerska i mieszczańska. Właścicielem jej był imięp. Skoda, który w Nowym mieście Korczynie również gospodę trzymał i tam gospodarzył, w Krakowie zaś osadził małżonkę swą, niewiastę młodą, rezolutną a nadobną, która śmiechem i żartami umiała przyciągać gości. Zrazu jednak zarobek był niewielki; dopiero gdy przybyli do miasta Litwini, a książe Skirgiełło oną gospodę upodobał sobie, nastały dla Skodziny szczęśliwsze dni, jedna bowiem ucztą Skirgiełłowa przynosiła jej nieraz więcej grosza, niż dawniej lata całe.

Do tej przeto gospody począł także chodzić Przeclaw, w nadziei, że tam może, pośród rozswawolonych młodzianków i swego Boika wreszcie napotka, lub wieść o nim jaką poweźmie. I nieraz długo wieczorami tam przesiadywał, usiłując obecnością swoją i poważnymi opowiadaniem z dawnych przygód rycerskich, odciągnąć młodź ową od nieprzystojnych żartów, gry w kości lub zbytecznej pijatyki. Opowieści słuchali młodziankowie ochotnie, a chociaż czasem niejeden, bardziej krewki, obruszył się na strofujące słowa starego rycerza, jednakże powszechnie poważano go i miłowano.

I to również bardzo mu chwalił Nawój, przyczem gorąco zalecał, iżby szczególne zwracał baczenie na owego Siemka z Belza, który wieczorem pod oknami komnat królowej miłośne zawodził pieśni.

— Miłe to i wesołe pachole—odrzekł na to Przeclaw.—Znam owego Siemka... roztropny jest...

— Rzeknij mu jednak,—przerwał Nawój—iżby onemi pieśniami uszu i serce niewieścich nie kusił. A niech oczu na Reginkę nie podnosi i jej jasnego spojrzenia ku sobie nie ściąga, bo to dziewczę szlachetnego rodu pod moją opieką i Bogu ofiarowane jest.

Raz, po dniu skwaronym, słońce zniżało się już ku zachodowi, gdy Przeclaw, idąc zwolna ulicą Grodzką, spostrzegł wokoło gospody Skodziny ruch niezwykle. Stało tam kilka czterokonnych wozów czyli kolebek ciężkich, pałubami zwanych, mnóstwo koni wierzchowych w rzędach bogatych, a wokół nich snuł się tłum różnorodnych postaci: masztalerzy, giermków, pacholików zbrojnych

i niezbrojnych, w ubraniach kusych, bardzo opiętych i jaskrawej barwy.

Przeclaw przystanął opodal, przyglądając się tym przybyłym z dalekich snadź krajów, gdy w tem na progu gospody ukazała się Skodzina i, spostrzegłszy starego rycerza, wnet ku niemu podbiegła.

— Kara Boża przyszła na mnie!—zawołała:—otom zgoła w niewoli niemieckiej!

Była bardzo wzburzona; z czerwonej twarzy pot spływał kroplami; wystraszonemi oczyma rzuciła wokoło.

— Kto przybył?—zagałnął Przeclaw.

— Nie wiecie? — odparła Skodzina dysząc.—Owo pan Gniewosz z Dalewic i pan Paweł Gryfita najlepiej wam powiedzą. Ja tyle jeno wiem, co z niemieckiego szwargotu tej oto hałastry wyrozumieć mogłam. Przybyło pono książątka rakuskie i w domu pana z Dalewic stanęło gospodą... Mnie zaś przysłano czeladź, i pacholków, i wozy, i konie. A gdzie ja ich pomieszczę?... Zniszczą mnie do cna te rabusie... Rzekłam tedy panu Gryfici, który mnie dziś rano ten tabor przywiódł: jedźcie z Bogiem do Nowego miasta Korczyna, do małżonka mego. Gospoda tam pusta, a on rad będzie. Lecz pan Gryfita na to: „My tu w pobliżu musimy być, albowiem wjazd czynimy na zamek.“

— Tak powiedział?... na zamek!—zawołał Wąwelski.

— Powiedział i dodał jeszcze, śmiejąc się złośliwie: „Myśmy królowej naszej prawego małżonka, a wam wytwornego króla przywieźli. Z poganami—krzyczał—precz!

Skodzina załamała ręce.

— O rany Pana Krystowa! — jęczała — cóż ja teraz pocznę? Zniszczę do cna przez tych krześcijan niemieckich...

— Wolicie pogan litewskich?

— O Jezu! czy ja wolę? Toż gdyby tu kniaź Skirgiełł się pokazał, tobym go na klęczkach błagała, iżby tych zbójników porozganiał... Onby ich jedną pięścią zmiotł... To mi książe! W pijaństwie, to prawda, pogruchoce wszelakie statki i sprzęty, a ludziom kości łamie, ale nazajutrz wszystko we dwójnasób wynagrodzi, zapłaci, a połamane kości, jako w sztuce tej biegły, doskonale poskłada i uleczy... To mi pan! Ale on na Litwę ujechał, gdy zaś powróci, to ci gotowi... Oni nawet tak powiadają, krzycząc: Dawaj, babo, to i owo, bo my tu teraz panami będziemy!... A niedoczekanie!

Przeclaw nie słuchał już wyrzekań Skodziny, i nie wchodząc do gospody, pobiegł do Nawoja. Chciał zrazu do pana Spytka iść, ale mu w dworzysku jego powiedziano, jako pan z Melsztyna oddawna z drużyną swą ujechał, nie mówiąc dokąd.

— Za Elżbietką swoją tak ugania... — pomyślał Przeclaw i do Nawoja poszedł, jakkolwiek bowiem dziczy litewskiej zawsze był przeciwny, to jednak, co mu Skodzina powiedziała, mocno go strwożyło.

— Na zamek chcą iść...—myślał—królowę porwać... Do tego dopuścić nie lża!...

Nawój wiedział już o wszystkim i mocno wzburzony mówił:

— Spodziewałem się tego... Gniewosz i Szczukowski Gryfita zawsze podstępem idą. Ale Bóg wielki, nie uda się to im. Poselstwo nasze wnet wróci z Litwy, z Krewa, od Jagiełły...

— Lecz oni na zamek chcą iść... przebrać!—wtrącił Wąwelski.

— Nie, nie uczynią tego...—pocieszał się Nawój—nie ośmielą się!... Niech Wilhelm siedzi sobie u pana Gniewosza, ale na zamek, nie!...

Przechadzał się po celi bardzo niespokojny i mrucał:

— Oni to może jednak uczynić zechcą... A naówczas stracone wszystko...

Zbliżył się do Przeclawa i za rękę go pochwycił.

— Ty...—rzekł—tyś prawy rycerz, a chociaż za Wilhelmem był, nie będziesz mu pomagał do zbrodni...

— Gdyby chciał królową naszą gwałtem porwać, raczej zginę, a nie dozwolę!...—zawołał Wąwelski z zapalem.

— Nie o gwałt tu idzie,—przerwał Nawój—lecz o to, iżby Wilhelm nawet za pozwoleniem królowej nie dostał się na zamek. I krótko rzecz mu wyjaśnił:

— Młodociane śluby hainburskie Wilhelma z Jadwigą wagi nie mają dopóty, dopóki owo książątka na zamku nie zamieszka. Królowa dotychczas mniema, jako jest ważnie poślubioną Wilhelmovą małżonką, i nikomu przekonać się nie daje. Tedy posłałem dziś do niej księdza Wysza, doktora dekretów, mistrza dawnej Kazimierzowskiej szkoły, męża świątobliwego i uczonego, który ma to jej wszystko wyluszczyć i przedstawić, że owe sponsalia dziecinne zgoła jej nie wiążą...

— A jeśli królowa oświadczy swą wolę?—wtrącił Przeclaw—któż jej się przeciwiać będzie śmiały?

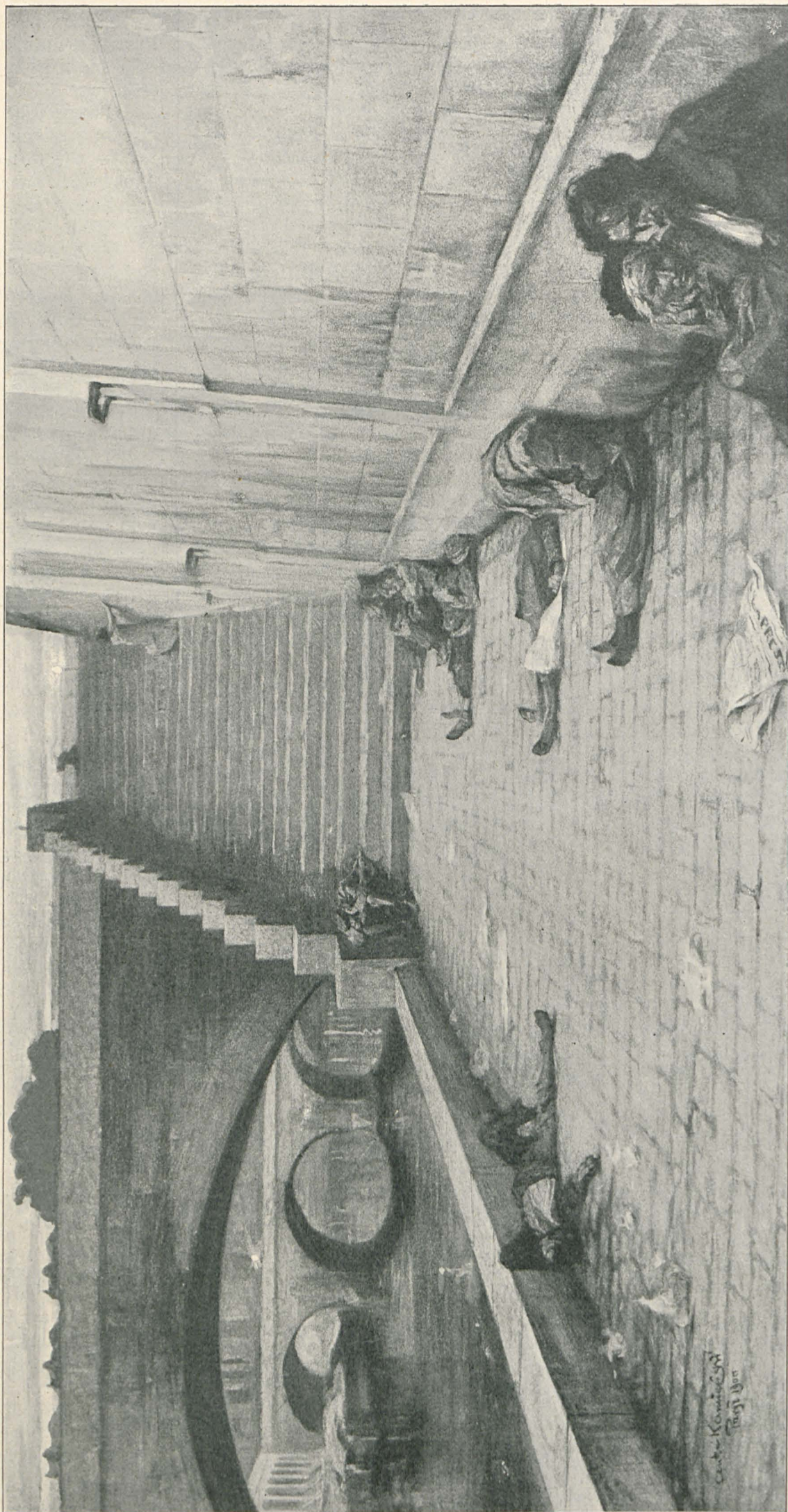
— W niej ciągle jeszcze wahanie jest—odparł Nawój.—Był taki moment, niedawno, że już niemal zgodną była. Teraz jednak, gdy ów Wilhelm przybył, lękam się, że odżyją dawne wspomnienia. Na zamek go tedy nie puścim... Posłałem już gońców do biskupa naszego Jana Radlicy, który w klasztorze kamedulskim, Clara Tumba, pobożne ćwiczenia odprawia; dziś też ma przybyć nasz pan krakowski i wielkorządca a strażnik królewskiego zamku, Dobiesław z Kurozwęk, i podskarbi Dymitr z Goraja. Niech oni strzegą królowej i umocnią jej wolę...

Stary rycerz głową chwiały nieprzekonany.

Wieczór już był późny, a po dniu skwaronym, chmurny i duszny, gdy zaniepokojony i złemi dręczony przecuciami, wracał od Nawoja do swego przymurnego domku, obok Wąwelu.

Przyczepiony był ten domek jak gniazdo jaskółcze do zamkowego muru, nędzny był i mały, a mieścił w sobie dwie izbice, z których pierwsza, przestronniejsza, służyła za mieszkanie Przeclawowi, w drugiej przebywał syn jego, Bolko, przed swoją wyprawą w świat.

Ubogo tu było i miało pozór surowy, jak ubogim i surowym był rycerz Wąwelski; same tylko najpotrzebniejsze sprzęty drewniane, ale za to siła rozmaitej, bardzo cennej zbroi, stanowiącej całe mienie rycerskie. Były tu całkowite rynsztunki, harnasze, pancerze, bajngwanty czyli nagolenice, przyłbice i naramienniki, miecze i kopie, kusze ze wszystkimi porządkami, piękne siodła, a także manice, karwasze i liczne pelty, czyli tarcze obłaczyste.



PARYŻ PO ZA WYSTAWĄ
WYSPA Ś-GO LUDWIKA

ANTONI KAMIŃSKI



PARYŻ NA WYSTAWIE
WIDOK Z TROCADERO

ANTONI KAMIŃSKI

Przeclaw usiadł na małym tapczanie, przy kominie, ale łuczywa, ani świecy łożowej, która obok przygotowana stała, nie zapalał. Mrok w izbie panował zupełny, jeno kiedy niekiedy przez otwory okienne wpadała jaskrawa łuna błyskawicy. U krawędzi rozdzierało się zagniało niebo i ukazywało czełusć ognistą, jakby piekielną. A w tym blasku owe harnasze i pancerze zdawały się ożywiać i drżały; huk gromów silny, przeciągły wstrząsał słabymi ścianami lepianki, że przyparte do nich zbroje wydawały głośny chrzęst.

Przeclaw żegnał się pobożnie, ale ani tym znakiem zbawienia, ani odmawianiem pacierzy nie mógł odegnać gnębiących duszę myśli. W parnym powietrzu, wśród tej burzy, która srożyła się w górze, a na spragnioną ziemię spaść nie chciała ożywym dżdżem, myśli owe, jak mgły ciężkie, osiadały mu na sercu, a jak zmory szarpały mózg.

— Co z Bolkiem? — szeptał — co z jednakiem moim się dzieje? Jużem mu przebaczyć gotów... Był powrócił! Żyw li on jest, a jeśli żyw, zali nie skaził swej rycerskiej czci w owym zepsowaniu powszechnem, o którym mówił Nawój? Ubogi był, komu więc służy? Może on teraz tu przybył z rakuskim Wilhelmem, iżby mu pomagać w zdobyciu polskiej królowej?

Na tę myśl dreszcz go przeszedł od stóp do głowy. W takim razie, on, rodzic, musiałby stanąć przeciw własnemu synowi, chociaż bowiem prawa Wilhelma, pomimo upomnień Nawojowych, w duchu uznawał, a dzieć litewska zawsze przerażała go, jednakże postanowił własnymi piersiami bronić Jadwigi przeciw przemocy, gdyby rakuski książę użyć jej chciał...

— Nie! nie! — powtarzał w duchu — do tego nie! — dopuścić. Byłaby to hańba przed całym światem wieczysta, gdyby w ten sposób pani tego królestwa niewolona być miała. Skoro już wysłano do Litwy poselstwo, niechże ono wróci, niech przybędzie ów Jagajło, niech go królowa ujrzy, a potem swobodnie rozstrzyga.

Wstał z tapczana i zbliżył się do okna. Burza przeciągnęła nad miastem i poszła dalej. Coraz słabszy huk grzmotów, coraz bledsze i krótsze płomienie błyskawic. Zerwał się wiatr gorący i z poświstem gnał kłębiące się po niebie chmury; czarne już precz odpędził, w olbrzymi a daleki wał stłoczył; bliżej zaś rozsnuwał mgły białe, coraz bielejsze, przezroczystsze, wśród których migały już gwiazdy.

Przez otwór okienny swej izbicy widział Przeclaw okna baszty narożnej zamku, w której mieściły się komnaty królowej. Były oświetlone, i stamtąd dochodziły stłumione dźwięki cytary i śpiew: zwykła zabawa królowej przed spoczynkiem. Jeno dzisiaj wydało się Przeclawowi, iż śpiew był inny, niż codziennie, a cytara brzmiała donośniej, miała chwilami rozpaczliwy ton skargi. I nagle urwało się brzmienie, jękło jak pęknięta struna.

Natomiast bliżej ozwał się tętent koni i broni szczęk. Równocześnie migotać zaczęły światła w komnatach królewskich, i widać było cienie przebiegających postaci.

Byłże to już napad rakuskich rycerzy? czy może pan Dobiesław z Kurozwęk przy-

był na wezwanie Nawoja i nowe warty zaciąga?

Przeclaw, zdzierżyć się nie mogąc, wybiegł szybko ku bramie zamkowej. Otoczona była silnym poczem zbrojnym, ale stary rycerz wnet uspokoił się, spostrzegłszy, jako to była Dobiesławowa drużyna. Sam sędziwy pan z Kurozwęk stał u bramy i rozprawił ze Spytkiem z Melsztyna, który snadź przed chwilą powrócił i z wyprawy swej sprawę zdawał.

Zoczywszy Przeclaw, pan krakowski skinął ku niemu.

— Bywajcie, — rzekł — cny rycerzu! W czas przybywacie, przyda nam się w tej okazji wasza żelazna głowa i nieustraszone serce... Oto mamy najazd rakuski. Straż nam trzeba trzymać pilną wokoło naszej umiłowanej królowej. Wyście tu najbliżsi, przeto wam zlecam czuwanie nad strażą... Na każdy ruch baczenie mieć trzeba, bo oto już dziś przekraść się chciał aż do komnat królowej jakiś rycerzyk niemiecki. Aleśmy go wyparli precz!

— Nie lękaciez się krwi rozlewu — wtrącił Przeclaw — w razie, gdyby Wilhelm chciał z siłą zbrojną...

— Nie uczyni tego! — przerwał żywo Spytko. — On teraz — mówił dalej, kończąc relację swą Dobiesławowi — czekać będzie dni kilka spokojnie na przybycie księcia Opolskiego, Władysława. A ten nie przybędzie.

— Skąd wiesz, wojewodo? — spytał Dobiesław.

— Bom go widział i mówił z nim. Chytre stare księżę, widząc jako korony polskiej sam nie zdobędzie, teraz jeno tego patrzy, iżby jak najwięcej dla siebie korzyści osiągnąć. Tedy na dwie strony ogląda się. Był teraz na budzińskim zamku razem z Wilhelmem i tam królową matkę przekonywał, iżby zezwolenie swe na związek Jadwigi z Jagajłą cofnęła. Królowa, własnymi kłopoty z Luksemburczykiem i starszą córką Maryą zajęta, odrzekła: „Czyńcie, jak uważacie. Jam gotowa paktów hainburskich dotrzymać.“ A na to przebiegły Opolczyk: „Jam był ich świadkiem, dotrzymać trzeba!“ — „To jedź, jako świadek z Wilhelmem do Krakowa, — rzekła Elżbieta — a gdy Jadwiga zezwoli, bądź im weselnym starostą.“ Na to Wilhelm na szyję Opolczykowi się rzucił, prosząc, iżby z nim jechał. Ten zaś przyrzekł święcie, ale równocześnie poselstwu, które na Litwę po Jagajłę pojechało, moc dał, iżby i w jego imieniu prosiło wielkiego litewskiego księcia na tron polski.

— Szczwany lis! — zaśmiał się Dobiesław.

— O, szczwany — potwierdził pan z Melsztyna. — Dogałem go w Opolu...

— Toś ty i w Opolu był? — zagadnął Przeclaw.

— Byłem... Kędy ja już nie byłem! — dodał smutnie.

— Zawsze za oną Elżbietką w pogoni...

Spytko głową rzucił:

— Zawsze, — powtórzył — i do ostatka tchu szukać będę, aż znajdę... Mniemałem, że powróciła na budziński zamek, ale tam jej niema, a królowa pono zwodzi, mówiąc, że nic nie wie... W Budzie dowiedziałem się ja przecież, co z Opolczykiem zaszło, jako on starostą weselnym Wilhelma ma być. Pognałem przeto do Opolu. Stary księżę rzeczywi-

ście już przygotowania czynił, a zbrojno i strojno na Kraków się sposobił. Ale go odwiódł.

— Jakim sposobem?

— Ano, różne mu łakome obietnice czyniłem księcia Jagajły imieniem. A on zaś obliżywał się, oczy mu się iskrzyły, moment długi myślał, a potem rzekł, śmiejąc się w głos:

— Wolałbym ja, żeby Jadwiga dwóch małżonków mieć mogła; możeby choć jeden z nich, co przyrzeka, dotrzymał. Tak zaś muszę czekać, aż z dwóch jednego wybierze. Między młot a kowadło tymczasem nie wlażę i do Krakowa nie pojedę.

A ja na to:

— Poręczenie dajcie, książę.

On spojrzał na mnie tak, jakby mnie pożreć chciał, ale odparł spokojnie:

— Król Lois, błogosławionej pamięci, uczynił mi, jak wiesz, różne nadania... Moja jest przeto Dobrzyńska i Wieluńska ziemia. Zali mnie przy tem utrzyma Jagajło?

Długi czas nie chciałem ja odpowiadać na to. Targi trwały dni kilka. Aż wreszcie na tem stanęło, że gdy Jagajło królem naszym zostanie i Jadwigę poślubi, my dołożymy starań, iżby Opolczyka w dzierżeniu tych ziem utrzymał, pod warunkiem złożenia holdu...

— Zuchwałe przyrzeczenie — rzekł Dobiesław.

— Nie było innej rady — tłumaczył Spytko. — Ziemia te i tak do nas wróć, bo książę stary jest i bezpotomny. Gdybym mu był zaś owych przyrzeczeń nie uczynił, mielibyśmy go już tutaj na karku z jego zbrojną drużyną; mielibyśmy zaciętego wroga, który z Krzyżakami zmać się gotów...

— Więc nie przybędzie teraz? — zapytał znów pan z Kurozwęk.

— Poręczenie dał i pieczęcią stwierdził — odparł Spytko. — Wilhelm czekać na niego będzie... mamy przeto dość czasu... aż od Jagajły z Krewa wróci poselstwo...

Przeclaw zabrał głos i opowiedział, co od Skodziny słyszał, jako owi rakuscy rycerze chcą wjazd uroczysty na Zamek urządzić.

— Nie z tego! — zawołał Dobiesław: — jam jest pan i stróż tego zamku... Przez tę bramę Wilhelm nie przejdzie! chyba po trupie moim!...

Spytko zaś do Przeclawa się zwrócił:

— Trzeba dzień i noc straż trzymać. Zbierzcie młódz, która was miłuje; trzeba wać otoczyć zamek i bronić naszej królowej... Sprawcie to.

Stary rycerz głową chwia. Wszystko to nie zdało mu się być rycerską sprawą, a zwłaszcza nie podobały się owe knowania z Opolczykiem i poczynione mu obietnice. Odparł tedy:

— Królowej bronić przeciw przemocy będę, choćbym zginąć miał... Ale też przeciw się nie przestanę niewoleniu jej przez was... Ona królową jest... wola jej święta...

I odszedł bardzo ponury. Ale już nie zaznał spoczynku tej nocy. Zaledwie na posłanie legł i oczy zmrużył, zbudziły go wnet z ogarniającej senności straszliwe zmory. Zdawało mu się, że słyszy daleki tętent koni, to znów kroki ludzi i stłumione ich głosy.

Wiktor Czermak.

Uniwersytet Jagielloński w nowszych czasach.

Dokończenie.



a objaw postępowy należy wreszcie uznać fakt, iż w roku 1815 przyszło w Krakowie, z inicjatywy profesorów Uniwersytetu, do zawiązania Towarzystwa Naukowego, które się poddało pod zwierzchnictwo Rady rektorskiej Akademii, przybrawszy nazwę: „Towarzystwa Naukowego, z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego.“ Związek ten z Akademią utrzymał się aż do r. 1856.

Wreszcie godzi się na tem miejscu wspomnieć, iż rząd Rzeczypospolitej przystąpił w r. 1839 do restauracji dawnego kolegium Jagiellońskiego, w którym była pomieszczona biblioteka i, powierzwszy kierownictwo tego przedsięwzięcia Józefowi Kremerowi, czuwał nad dalszymi jego postępami.

Oparty na takich podstawach, dożył Uniwersytet szczęśliwie r. 1846. W tym roku przestała, jak wiadomo, istnieć Rzeczpospolita Krakowska: Kraków razem z okregiem został wcielony do monarchii austriackiej. I znowu pociemniał horyzont nad Szkołą krakowską. Rząd austriacki objawił odrazu dążność germanizacyjną. Już w r. 1847 zaczęto wprowadzać pierwsze wykłady w języku niemieckim. Rok 1848 wstrzymał wprawdzie do czasu postępy tej roboty, ale zwycięstwo reakcji monarchicznej nad obozem rewolucyjnym utorowało drogę dawnemu systemowi. W r. 1853/4 język niemiecki stał się urzędowym i wykładowym na Uniwersytecie krakowskim; po kilku latach germanizacja instytucji była faktem dokonany. Tylko na wydziale lekarskim opierali się jej dwaj profesorowie, Kozubowski i Majer, którzy wykładali i nadal po polsku; zachowaną też była katedra języka i literatury polskiej z językiem wykładowym polskim. Rozumie się, że Uniwersytet uległ również i co do porządku wewnętrznego reorganizacji wedle systemu austriackiego.

Następstwa tych wszystkich przemian opóźniły pomyślny rozwój Uniwersytetu. Część katedr zajęli znowu Niemcy, którzy uważali Uniwersytet krakowski za stopień przejściowy do dalszej kariery naukowej w swoich stronach. Na szczęście dla Szkoły krakowskiej, większa część katedr pozostała w ręku krajowców, i mnożył się z każdym rokiem zastęp ludzi zdolnych i gruntownie przygotowanych do zawodu nauczycielskiego, którzy mieli się stać później ozdobą i chlubą Uniwersytetu. Nauczał dalej Majer, od roku 1848 wykładający fizyologię; w r. 1851 objął klinikę lekarską Józef Dietl, znakomity praktyk, pierwszorzędnny pedagog, który umiał w krótkim czasie zaskarbić sobie podziw i miłość młodzieży. Katedrę literatury polskiej otrzymał w r. 1850 (zrazu jako zastępca) Karol Mecherzyński, pracowity erudyta. Od r. 1847 uczył filozofii znakomity Józef Kremer, który służył Uniwersytetowi i istniejącej przy nim Szkole sztuk pięknych do końca życia († 1875). W r. 1848 został pro-

fesorem botaniki i dyrektorem ogrodu botanicznego Ignacy Rafał Czerwiakowski, autor sześciotomowej „Botaniki szczególnej“ i twórca terminologii polskiej w tym przedmiocie. W r. 1849 podjął na nowo wykłady Antoni Zygmunt Helcel (czynny na katedrze jednak tylko do r. 1851). W tym samym czasie należał do grona nauczycielskiego, jako profesor geografii, znany poeta Wincenty Pol (w okresie od r. 1849—51). Wreszcie już w r. 1850 zaczyna się działalność naukowa Juliana Dunajewskiego, — działalność, która doznała wprawdzie przerwy w czasie od r. 1855—1861, ale już wówczas zwróciła uwagę młodzieży na wyjątkowe zdolności tego człowieka.

Miało się dla tych wszystkich mężów nauki otworzyć szersze i swobodniejsze pole do działania z chwilą, gdy w rządzie wiedeńskim nastąpiła korzystna dla wszystkich ludów monarchii odmiana. Zaczęła się w roku 1860 nowa era konstytucyjna. W następnym roku przywrócił cesarz Franciszek Józef uniwersytetowi język polski jako wykładowy, co prawda, nie odrazu dla wszystkich przedmiotów. Ale odtąd polonizacja Uniwersytetu postępuje naprzód szybkim krokiem: dokonywa jej postanowienie cesarskie z 30 kwietnia r. 1870, uznając język polski za jedyny wykładowy.

Rozporządzenia te mają epokowe dla rozwoju Uniwersytetu znaczenie. Od nich zaczyna się okres nieustannego postępu, okres dźwigania się Szkoły we wszystkich jej oddziałach, okres rozkwitu na wszystkich polach pracy umiejętnej. Z roku na rok mnożą się katedry; w krótkich odstępach czasu przybywają nowe budynki, przeznaczone na zakłady naukowe; rośnie szybko zastęp znakomitych sił nauczycielskich; podnosi się statecznie (z małymi wyjątkami) frekwencja uczącej się młodzieży. Uniwersytet, który około r. 1860 zajmował kilkanaście starych budynków, w tym okresie czasu ostatnim stopniowo cały, rzec można, na nowo się zbudował, tak, że wszystkie gmachy, które mu służą obecnie, zestawione razem, same złożyłyby się na dzielnicę, na osobną jakby kolonię naukową. Nieocenione zasługi około wyjednania większych funduszy na utrzymanie i rozszerzenie Uniwersytetu położyło Koło polskie w Wiedniu i długoletni minister finansów austriackich, a były profesor Uniwersytetu, dr. Julian Dunajewski.

W r. 1870 otrzymał Uniwersytet nową budowę pracowni i gabinetu chemicznego; w początkach r. 1871 oddany został do użytku gmach zakładu anatomicznego przy ul. Kopernika; w r. 1872 uległ przebudowie i rozszerzeniu budynek kliniczny; w r. 1877 doczekała się wykończenia starożytna budowla Biblioteki Jagiellońskiej, nad której restauracją pracowano od r. 1839. Co ważniejsza, w ciągu lat 1883—7 stanęły mury monumentalnego gmachu „Collegium novum“, wzniesionego wedle planów Feliksa Księżarskiego.

I na tem nie koniec: bo we dwa lata później dostała i Klinika chirurgiczna nowy budynek; w r. 1895 otrzymał wydział lekarski doskonałe pomieszczenie dla swoich zbiorów i pracowni w ogromnym budynku, postawionym na Grzegórkach; w r. 1898 wreszcie przyszło do otwarcia nowego gmachu Kliniki okulistycznej.

Osobno trzeba zaznaczyć, że w r. 1890 przybył Uniwersytetowi piąty oddział naukowy (choć przyłączony do wydziału filozoficznego) w tak zwanem „Studjum rolniczym.“

Zwiększał się równocześnie, z roku na rok, zastęp profesorów i zastęp uczniów. Najlepsze pojęcie o postępie w tym kierunku da porównanie składu Uniwersytetu z r. 1864 z obecnym składem. W r. 1864 nie było w całym Uniwersytecie więcej niż 51 prelegentów, a wśród nich 34 profesorów zwyczajnych, 2 nadzwyczajnych, 7 zastępców i 8 docentów; dziś doliczyć się można 105 prelegentów, a więc liczba nauczycieli w ciągu trzydziestu kilku lat urosła we dwójnasób. Samych profesorów zwyczajnych jest obecnie 51, nadzwyczajnych i tytularnych 33 i docentów 20. Frekwencja młodzieży przedstawia jeszcze znaczniejszy stosunek przyrostu: kiedy w latach sześćdziesiątych zwyczajna liczba słuchaczy wahała się w granicach 300 do 500, to w roku 1885 przekroczyła ona już tysiąc, a w bieżącym roku, w półroczu zimowem, osiągnęła niebywałą nigdy przedtem w XIX w. cyfrę 1331.

Ale cyfry mają zbyt słabą wymowę, gdy chodzi o sferę ducha, o dziedzinę wiedzy. Główna siła i chluba Uniwersytetu w tym okresie odrodzenia była i jest w tem, że wydał w ostatnich kilku dziesiętkach lat i wydaje dotychczas uczonych pierwszorzędnej miary, z których niejeden zdobył sobie europejską sławę i stał się godnym najwyższych powołań na innych szerszych widowniach działania. Nie brakło i takich, którzy wytrwali w wiernej służbie dla Uniwersytetu do końca życia, nie szukając rozgłosu po za granicami kraju, oddali się badaniu rzeczy swojskich i nauce polskiej zdobyczami swej pracy znakomicie się przysłużyli. Zbyt są oni wszyscy znani, aby ich zasługi trzeba było przypominać. Cisną się pod pióro głośne nazwiska Dietla, Majera, Teichmanna, Mikulicza, Dunajewskiego, Madeyskiego, a przed wszystkimi innymi należy się słowo hołdu i czci wielkiej postaci Józefa Szujskiego.

Wszyscy ci uczeni, prócz osobistych zasług naukowych, mają jeszcze i tę niepowszednią społeczną zasługę, że ustępując z katedr albo schodząc ze świata, pozostawili Uniwersytetowi godnych siebie następców, którzy podtrzymują i podnoszą dobrą sławę Szkoły Jagiellońskiej do dnia dzisiejszego. I tych wspominać nie potrzebujemy: mówią za nich codziennie ich własne, chlubne czyny i dzieła.



Artur Gruszecki: Na drugą półkulę.

Sprawozdanie specjalne delegata Tygodnika ilustrowanego.

161

NA KOLONIACH.

Natury tutejszej koloniści nie lubią, nie żyli się z nią, wydaje im się wrogą, niechętną. Liczne węże, jaszczury, napełniają ich trwogą; dokucza im mnóstwo owadów zjadliwych lub obrzydliwych, jak: *barratas*, bardzo liczne i mnożne (*blatta orientalis*), fruujące, a do-



Chata kolonisty.

chodzące do 7 cm. długości; moskity drażniące; *matucos*, gatunek bąków, składających jajeczka pod skórą ukąszonego; szkodliwe mrówki (*formica cephalotes*); małpy niszczące zasiewy i wielkie koty drapieżne.

— Co tu lubić w tej Brazylii?... aby nie ziemia dobra, to tylko splunąć i uciekać.

Po ogródkach u naszych kolonistów spotyka się niemal wszędzie malwy, bratki, fijołki, modraki, laki i lewkonie, wyrosłe w drzewka, chociaż wokoło mają pysznie ubarwione kwiaty. Jedynie drzewo mirtowe, oleandry i fuksje przyjęły z tutejszej flory.

Wiesz mnie Pikusa, młody, dzielny, wesół kolonista, wasagiem w lic. Powozi śmiało, z fantazją krakowską, strzela przy mijaniu z bata, jak z pistoletu.

— A dawno w Brazylii?

— Ojcowie siedzą tu od dwudziestu trzech lat.

— Ileż wam?

— Dwadzieścia trzy.

— Toście wy Brazylijanie?

— Bogu chwała, nie—i śmieje się głośno, wesół: — ja tam nie żaden Brazylich! Matka mnie w łonie przywiozła.

Ładna, młoda dziewczyna przyjmuje dość lekko i obojętnie umizgi dwóch chłopców.

— Panna może pójdzie za Brazylijanina? — zażartował ktoś.

Odeła usta, zmarszczyła się i z gniewem odpowiedziała:

— Żeń się pan z Brazylianą!.. Lepsza mi śmierć.

— Chociażes moja, a wolałbym cię na marach, jak z Brazylichem — przyznaje ojciec.

A tak zwana inteligencja mówi głośno: — Nic mi nie pozostaje, tylko ożenić się z bogatą Brazylianą.

W szkołkach polskich uczą się dzieci z elementarzy galicyjskich, poznańskich, warszawskich...

Dzieci, które nie widziały nigdy wierzy, brzozy, naszych łąk, wróbli, srok etc., etc., uczą się o nich. Elementarz, zastosowany do stosunków brazylijskich, jest bardzo potrzebny i konieczny. Mała stąd pociecha, że Brazylijczycy w szkołach swoich posiadają obowiązujące czytanki (edycja 26: *Primeiro livro da leitura* i *Segundo livro*, obie nagrodzone), traktujące obszernie o przepiorkach, jeleniach, żniwach, bławatkach etc., książki zapożyczone od Francuzów i ślepo stosowane w Brazylii.

Koloniści i rzemieślnicy wogóle są za możni, a w okolicach Kurytyby posiadają drobne kapitały.

— Dlaczego synów nie posyłacie do szkół wyższych?

Zawsze odpowiadają, że w brazylijskich, prócz lenistwa, niczego się nie uczą, a innych szkół, pożytecznych, rozumieją praktycznych, niema wcale w Paranie.

Koloniści nie potrzebują ani żądają składek, ofiar, dobrodziejstw macierzystego kraju, w którym tylu, aż tylu jest analfabetów, celem utworzenia szkół w Paranie. Mają z czego zapłacić i zapłacą, ale niech ktoś założy szkołę, nie jako łaskę, jako szczególny objaw poświęcenia, ofiary, lecz jako interes dobry. Niech ta szkoła da chleb wychowankom, możliwość zarobkowania, niech się przystosuje do warunków tutejszych—a może liczyć na powodzenie pod każdym względem.



Wodospad.

W stosunkach handlowych są dalsze kolonie na łasce i niełasce wendystów, u których się zaopatrują drogą handlu zamienne-

go w ubrania i artykuły spożywcze. Bliżsi, pod Kurytybą, są przeważnie w ręku pośredników: ojca i syna Rosenmannów i Flachsa. Ci trzej Żydzi skupują produkty rolne i dyk-



Kolonista polski.

tują ceny. Tę samą rolę w Rio-Negro odgrywa André. Chłopi, podobnie jak u nas, kpią sobie z Żydów i ich brazylijszczyzny, ale z nimi nie zrywają.

Zarządzający sklepem Żydek, udający Brazylijanina, nazywa siebie *caséiro* (portug. rządca), a pies po brazylijsku jest *cachorro*.

— Hej, kaszoro, dawaj mi przedzej, bo czasu nie mam!—woła kolonista.

— Ja nie kaszoro, ale kazejro.

— Co ty mnie będziesz uczył! Kaszejro czy kaszoro to wszystko jedno.

— Was zawsze trzymają się żarty,—mówi, wręczając towar—a ja przecież kazejro.

— Tak czy siak, Żydem zostaniesz — a wszyscy obecni, śmiejąc się, dogadują.

Czy koloniści mają długi, jest rzeczą wątpliwą; nie mówię o drobnych w sklepie. Dochodzenie długu i egzekucja jest w Brazylii długa, kosztowna i... bądź co bądź „faka rozstrzyga kto ma recht.“—Zapewne z tego powodu stosunkowo tak mało Żydów tutaj.

Wyzwolenie kolonistów z ekonomicznej zależności od wendystów, ułatwienie im sprzedaży produktów rolnych, puszczenie w obieg gotówki, wytworzenie polskiego domu handlowego, jest rzeczą nie tylko potrzebną i pożądaną, lecz konieczną, bo z ekonomicznym rozwojem kraju wzrośnie w stosunku geometrycznym liczba pośredników, i może się powtórzyć w Paranie gospodarka galicyjska: bez przemysłu, bez handlu, niewola u drobnych kapitalistów.

Po dość sutem, chociaż przypadkowo przyjęciu u kolonisty, pytam:

— Wy tak wszyscy żyjecie?
 — Wszyscy nie wszyscy, no i nie w każdy piątek jest świętek — uśmiecha się, patrząc na mnie, jako na gościa.
 — A jaki jest zwykły porządek?
 — Rano to u każdego kawa (kilo kawy kosztuje mniej więcej 25—30 kop.) i chleb z omastą, a nim z południa słonko przygrzeje, to zjemy fiżon, kartofle albo pataty, no i u bogatszych siarkę.
 — I znów do roboty?
 — Ee, nie; toż okropa jaki gorąc: legniem chwilę, potem kawa z chlebem, robota, no i kolacja.
 — Jaka?
 — Fiżon, niebądź kasza i jak czasem mięso.
 — Ho, ho, to dobre jedzenie!
 — Ii, byłoby dobrze, aby nie gorąc: tutaj słonko wyssie z człowieka wszystkie siły; nie podjadłszy, to i zmarniałby człowiek do szczętu.

 — To pan wracają?
 — Wracam.
 — A będą pan w Częstochowie?
 — Będę.
 Wyszła, po krótkiej chwili wróciła.
 — Już moje oczy pewno nie obaczą Cu-



Cmentarz kolonistów polskich w okolicach Kurytyby.

downego obrazu... niegodnam tego — mówi prawie ze łzami. — Niechże pan to dadzą na ofiarę — i wyciąga milreisa oszczędzonego.
 — Pozwólcie, matko, że już was sam wyręczę i dam.

— Nie może być.
 — Toż na milreisach tam się nie znają.
 — Prawda... niechże pan da za mnie, jeśli łaska... i życzę panu dobrego rozstania.
 — ?
 — Z Brazylią... bo tu o choroby i śmierć nie trudno; moich czworo umarło, a co po ludziach, to i nie zliczyć.
 — Dziękuję, matko, za życzenie; dokuczyła mi już Brazylia.
 — My tam jej nie hańbujem — odzywa się mąż: — ziemia dobra, aby ino ludzie i porządek był inny.

Poważny i zamożny kolonista, wspominając czasy swego przybycia do Parany, mówi:

— Zaś jakośmy zjechali ze Śląska, w roku 1874, to oni (Brazylijczycy) roli i pługa nie widzieli, żyli w budach bez okien; mury wanych ani poświęcić; chodziło to, i największy pan, w patynkach; chleba zaś nie znali, tylko placki z milii; kawy nie pili, tylko swoją herwę. My zaś nauczyliśmy ich co to rola, co to gospodarka, co cegła, co szyby, co talerze i szklanki; że są na świecie buty, i chleb, i kawa. Chociaż ci z lasu zawsze lgną do herwy, a jak ma buty, to już wielki pan — zaśmiał się z ironią.



Julian Ochorowicz.

Słowianie i Germanie.

Paralela historyczno-psychologiczna.

11.)

Aidząc, że tą drogą nic nie wskóra, książę saski za pośrednictwem starszych ziemi, udał się do księcia Obotrytów, Niklota, i z dobrocią żądał, by krajowi jego wiary dochował niewzruszenie, co też ten wiernie dopełnił." (Helm. Chr. I, 86). Notabene, nie za to nie dostał, gdy tymczasem książę saski wziął 1,000 marek srebra za pośrednictwo.

Każdy inny naród byłby zaczął od postawienia warunków. Słowianie tej przezorności i tego wyrachowania nie mieli, ale natomiast widząc, że ich wyzyskano, i że książę, wróciwszy z wyprawy medyolańskiej, bez dalszych z nimi układów, pojechał do Anglii i tam siedział, napadli na sprzysiężonych z Sasami Duńczyków i tem na siebie nową zemstę pierwszych sprowadzili. Nietylko, że nie wygrali na grzeczności, ale jeszcze tem ostatniem postąpieniem ściągnęli na siebie zarzut niesłowności, nie bez pewnych pozorów racji.

Mamy tu tedy — z jednej strony przebiegłość i pogardliwe lekceważenie, z drugiej dobroduszość i nieopatrzność.

Za to wściekłym bywał odwet Słowian, gdy kto ich miłość własną zadrasnął.

Książę słowiański Mściwój prosił księcia saskiego Bernarda o rękę jego synowicy, „który mu ją przyrzekł. Wtedy (Mściwój), chcąc okazać się godnym tych zaręczyn, udał

się z księciem (saskim) do Włoch z tysiącem wojska, które tam całkiem prawie wytepięone zostało."

Zdawałoby się, że po takiej ofercie rycerskiej, tem więcej mu się ręka książęcej synowicy należała. Ale Niemcy już go wyzyskali, mogli go odprawić z kwitkiem — der Mohr hat seine Schuldigkeit gethan, der Mohr kann gehen: „gdy wrócił z wyprawy, i zażądał obiecaney sobie żony, margiabia Teodoryk udaremnił ten zamiar, mówiąc, że krewna księcia za psa wydaną być nie może."

Mściwój, zaciskając pięści, odpowiedział: „Wielkiej wdzięczności za nasze usługi doznaliśmy, że już nas nie za ludzi, lecz za psów mają; ale jeśli pies silny, to i ukąszenia jego będą bolesne."

Co powiedziawszy, mimo że książę wołał za nim, wrócił do kraju, począł opowiadać ziomkom o swej zniewadze, a mianowicie: „że Słowianie w języku Sasów psami się nazywają."

A ci mu na to:

„Według zasług swoich cierpisz, skoro gardząc rodakami, umiłowalesz ród Sasów, wiarodolny i chciwy. Przysiąż nam, że ich opuścisz, a pójdziemy z tobą."

Mściwój przysiągł, Słowianie zebrali się, całą Nordalbingię z ziemią zrównali, a we własnym kraju wszystkie, stojące tam już

kościóły chrześcijańskie zburzyli, księżę częścią wymordowali, a niektórym na głowach krzyże mieczami powycinali... (Helm. I, 16).

Tym sposobem, dzięki jednemu pogardliwemu wyrazowi, cała kilkoletnia praca pokojowa kapłanów została za jednym zamachem zniweczona.

Gdyby propagandę pozostawiono samym kapłanom, bez opieki świeckiego ramienia, gdyby Słowian nie jętrzone i traktowano jak ludzi, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nierównie wcześniej byłiby przyjęli chrześcijaństwo. Sam Helmöld, którego nikt o brak germańskiego patriotyzmu nie posądzi, tak się w tym względzie wyraża: „Chwała religii chrześcijańskiej oddawnaby przez kapłanów mocy w ziemi słowiańskiej nabyła, gdyby temu na zawadzie chciwość Sasów nie stawała." (I, 21).

Takim tedy był charakter Słowian, że gdy do nich przystępowano z sercem, nie było uleglejszego i dobrotliwszego narodu, gdy zaś przemawiano groźbą i siłą, stawał się dzikim, podstępny i barbarzyńskim.

Na nieszczęście, o porozumieniu się sąsiadów mowy być nie mogło, bo jeśli Słowianin tylko pod batem stawał się dzikim, to w Niemcu dopiero pod batem odzywały się ludzkie uczucia.

* * *

Podobnie, jak północno-zachodni, tak i południowi Słowianie w zetknięciu z wyższą, ale rozbójniczą kulturą sąsiadów, musieli spacyfikować swój pierwotny charakter i dostosować się do warunków otoczenia.

Na Południu wpływ ten był o tyle korzystniejszy, że mieli do czynienia z umysłowo wyższą od Germanów, chociaż już upadającą kulturą rzymską.

Zetknięcie nastąpiło w V wieku.

Była to chwila wielkiego w dziejach przełomu, wielkiej wędrówki narodów i upadku państwa rzymskiego.

Upadali Rzymianie, jako dojrzałe kłosa, które już spełniły swe zadanie, wciągawszy w siebie wszystkie soki ziemi, i nie mając już ani potrzeby, ani siły, walczyć o światło i pożywienie z obrastającym je dokoła kąkolem.

Germanie tymczasem mężnieli i krzewili się jako dzikie zioła i zielska, ogarniające bujne łany cywilizacji grecko-rzymskiej, przejrzałej i już więdnącej.

Słowianie wreszcie, rozrzućeni po jeziorach i moczarach środkowej Europy, niby kępki wiotkiego sitowia, rozrastają się zwolna i zbliżają bezładną falangą, za podmuchem azyatyckich wichrów, ku zachodzącemu słońcu.

Już w II w. po Chr. dzikie, lecz bohaterskie drużyny Gotów, zaczęły budzić i centralnych Słowian z ich błęgiego spokoju.

Oporu poważnego nie było; ród niewolników tu i owdzie na czas dłuższy poddawał się najeźdźcom.

W końcu IV w. przez Słowiańszczyznę

środkową przepływa szalony potok Hunnów, dążący ku bramom Rzymu.

Nie niszczy wprawdzie Słowian, u których nie było co rabować, ale za to porwanych samych, na lekcje sztuki wojennej. Co większa, oddaje im przysługę, przeganiając drapieżnych Gotów. Tym sposobem, jak mówi Pawiński, „ukazanie się Hunnów w Europie stało się początkiem swobody dla Słowian.”

Pchani w pierwszych szeregach przeciw nieprzyjacielowi, Słowianie, radzi nieradzi, nie tylko wykryli w sobie męstwo, lecz w dodatku nauczyli się wojować lepiej, niż na Zachodzie, gdzie się zagryzali wzajemnie, w braku jakiegokolwiek organizacji.

I naraz okazuje się, że Słowianin jest doskonałym materiałem na żołnierza, byle tylko ktoś umiał go użyć.

Ze swej strony, Hunnowie uczą się od Słowian uprzyjemniania sobie życia ich pokojowymi wymysłami. Chętnie piją miód słowiański i wyprawiają stypy poległym bohaterom. *)

Ale po śmierci „Bicza Bożego,” cała ta oryginalna armia, z najdzikszych i najpotulniejszych elementów złożona, rozpadła się, jak tuman kurzu na pustyni.

Węsząc brak groźnych przeciwników, w końcu V w. szczepy germańskie Gepidów, Ostrogotów i Longobardów, zajmują miejsce Hunnów i dają Słowianom drugą lekcję wojowania.

Tym sposobem, pierwsze tysiąclecie ich istnienia kończy się wojennymi prymitywami. Nauka w las nie idzie i już w następnym wieku, Jornandes skarży się, że „wichrzą” w całym państwie wschodnim, dodając, że niegdyś Ermarykowi (królowi Gotów) służyli. Wichrzą, to znaczy dobijają się znaczenia. Ale czynią to w zabawny dla Rzymianina sposób, bo nie wyrzynają, nie niszczą, tylko żądają ziemi i praw w armii, w której szybko wypływają na wierzch.

Jako całość, żadnej jeszcze roli nie grają, ale zaczynają nabierać rezonu; całe bandy słowiańskie ciągną aż pod Carogród. „Prawda, że nie grabią (pisze Prokop), ale zimują w naszych prowincjach, jak gdyby we własnej ziemi!”

W wieku VI opisuje ich Prokop **) jako ludzi

*) Priscus, uczestnik poselstwa greckiego do Attyli, wodza Hunnów w r. 448, nazywa pity przez nich napój „medos”—a grecki kronikarz Jordanis opowiada, że po pogrzebie Attyli, wojska jego wyprawiły stypę pogrzebową, która się nazywała *stravica* (stravam, quam apelant ipsi). A. Pawiński, Serbia, Warszawa, 1870, s. 40.

**) Cyt. u Surowieckiego, wyd. krak. 1861, s. 451.

o lekko *śniadej* cerze i *ciemnych*, chociaż nie czarnych włosach, często w *rude* wpadających (dowodziłoby to przymieszki krwi obcej czarnego typu, może Scytów, może Sarmatów lub Hunnów), wzrostu słusznego. (Wobec niskich Rzymian, nie trudno było być wysokim). Wszyscy są „bardzo silni i wszyscy mówią jednym, bardzo dzikim językiem i kształtem ciał mało się różnią.” Życie prowadzą dzikie; mieszkają w chatkach samotnych, z rzadka rozrzuconych, co w Chorwacji do dziś dnia widzieć można, a także na stepach Małej Rusi (futory ukraińskie), i gdzieś niegdzie na Śląsku, zresztą, o ile wiem, wszędzie indziej w Słowiańszczyźnie: w Czechach, Polsce i Rosji, osady są skupione tworząc *wsie*, nieraz bardzo ludne).

Dopełniając te wskazówki ogólnymi danymi ludoznawstwa, będziemy mogli zestawić w ten sposób dwa główne typy Słowian:

Na północy:	Na południu:
wzrost wysoki	wzrost dość wysoki
(włosy jasne)	włosy ciemne
oczy niebieskie	(oczy ciemne)
cera czerwona	cera lekko śniada
siła wielka	siła wielka
czaszka podłużna.	(czaszka okrągła).



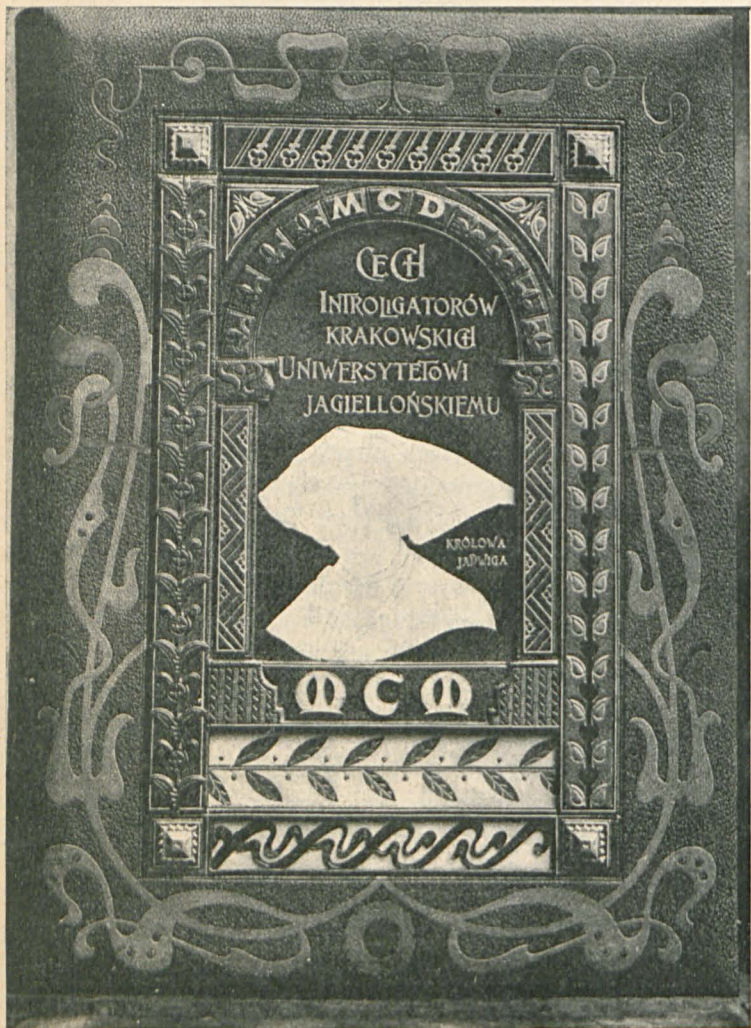
DCN

Nasze ryciny.



Zofia Stankiewicz: *Krajobraz*. Znana pejzażystka odtworzyła „kawalek” naszej krajowej przyrody: Brzeg rzeki, porośły lasem sosnowym, o charakterystycznych sylwetach drzew iglastych. Z brzegu wchodzi do wody stadko krów. Całość przemawia nie treścią anegdotyczną, lecz nastrojem i doskonałym odczuciem przyrody.

Antoni Kamieński: *Paryż na wystawie, Paryż po za wystawą*. Dwa te oryginalne utwory znakomitego rysownika stanowią pewną całość ideową. Na pierwszym widzimy ruch, zbytek, bogactwo, wspaniałość stolicy świata, na drugim—jej nędzę i brud. Widok pierwszego obrazu zdjęty został z jednego z tarasów pałacu Trocadero i wyobraża najpiękniejszy z punktów wystawy. Na prawo wieża „Grenady,” w głębi pawilony narodów wschodnich (Tunis, Marokko etc.) oraz kolonii francuskich i holenderskich, Algieru, Sudanu etc. Ziemię zaścieniają ogromne kwiatniki tulipanowe. Na dalszych planach widać kolosalną sylwetę wieży Eiffel, oraz wielkie koło żelazne, służące jako młyn dyabelski. Wsiadźmy teraz w statek kursujący po Sekwanie, a w 20 minut dostaniemy się do miejsca, stanowiącego krańcową sprzeczność z blaskiem „jarmarku narodów.” Jest to wybrzeże wyspy „St. Louis.” Statek tu nie dobija, trzeba iść z brzegu nieco w bok i natrafia się na zaułek, oddzielony wysokim murem od obulwarowanego wybrzeża Sekwany, czyli t. zw. „Quai.” Zaułek ten jest miejscem, na którym zbierają się najwięksi nędzarze Paryża: ludzie, którym brak kilku groszy na najpierwsze potrzeby życia, albo na trunek, spędzają tutaj bez ruchu, bez myśli, całe godziny, dni i noce, w półśnie i odurzeniu, wywołanym przez głód... Ich nie obchodzi polityka, zbytek, wystawa, a czeka ich śmierć z głodu i nędzy, albo samobójstwo, po którego spełnieniu, trupy ich wystawione bywają w Mordze (Morgue), budynku, wznoszącym się, jakby umyślnie, niedaleko od tego siedliska nędzy i rozpacz. Most, który widać na lewo, prowadzi na plac kościoła „Notre Dame.” Artysta doskonale odczuł i oddał nastrój obu tak różnych od siebie dzielnic Paryża. Malując zbytek i wesołość, był eleganckim i pogodnym; odtwarzając nędzę i smutek, trzymał swój obraz w nastroju ponurym i pełnym grozy.



Okładka adresu cechu introligatorów krakowskich, ofiarowana uniwersytetowi Jagiellońskiemu w dzień jubileuszu.

Spotkanie się pociągów pod Włochami.

Wrażenia naocznego świadka.

✱

Zawsze mnie to dziwiło, że katastrofy kolejowe, pomimo swej straszliwości, tak prędko idą w zapomnienie. O wielkich pożarach, powodziach, burzach, rozbiciach okrętów, ludzie pamiętają długo; zdarzenia te przechodzą nawet do literatury i historii. O katastrofach kolejowych mówi się tydzień, dwa, później nowe wrażenia zaczynają w pamięci wypadek, którego ślad pozostaje jedynie w bezbarwnych sprawozdaniach dziennikarskich, oraz suchych aktach sądowych i kolejowych.

Rozwiązanie tego problemu psychologicznego znalazłem w chwili, kiedy los zrobił mnie naocznym świadkiem jednej z najstraszliwszych katastrof kolejowych, a mianowicie spotkania się pociągów pod Włochami, przystankiem kolei Wiedeńskiej.

Znajdowałem się w wagonie klasy II, pociągu Nr 74, który na kilkanaście minut przed jedenastą wyszedł z przystanku Włochy i dążył wolno w stronę Warszawy.

Po jakich dwóch minutach jazdy, usłyszałem straszliwy trzask i uczulem silne wstrząśnienie, które obaliło mnie na podłogę. Pociąg stanął. Nie zdawałem sobie sprawy z grozy położenia i nie czułem wcale niepokoju. „Jakaś katastrofa, — pomyślałem — ale już się pewno wszystko skończyło, i gorzej, niż jest, nie będzie.“

Tymczasem jeden z towarzyszy podróży wyskoczył przez okno, a kobiety, siedzące w przedziałach, rzuciły się z krzykiem do drzwi, gniotąc się i dusząc w ciasnym przejściu. Na dworze słychać było hałas, gwar, głosy i jęki, które tłumili przeraźliwy syk pary, wydostającej się z lokomotywy.

„Eksplodowała kotła może nastąpić lada chwila“ — pomyślałem i opuściłem wagon.

Ze wszystkich drzwi i okien długiego pociągu wyskakiwali przerażeni podróżni i biegli co sił starczy w pole. Niektórzy zatrzymywali się po chwili i wracali, inni biegli dalej.

W głębokim rowie leżały dwa wagony, spiętrzone jeden na drugim. Pod spodem brankard z rozbitym ścianą, przez której otwór widać było dwie nogi w butach z długimi cholewami: nogi konduktora, zabitego na stanowisku. Na wierzchu leżał bokiem wagon klasy III, z którego okien zaczęły wydostawać się postacie kobiece z twarzami bladymi, jak opłatek, i oczyma błędnymi. Pomogłem dwóm zejść na ziemię, gdy wtem ujrzałem na szczycie plantu kolegę Gadomskiego, redaktora „Gazety Polskiej.“ Podbiegłem do niego i spojrzałem zdumiony na jego twarz okopconą:

— Czyś ty także jechał? co ci się stało?

— Wychodzę z ognia!... — odpowiedział.

— Z ognia? Gdzie, jak?...

— Jechałem z Warszawy, tam jest moja siostra, trzeba ją ratować.

Z Warszawy? A więc to było spotkanie pociągów, spotkanie w biały dzień! — myślałem, biegnąc z Gadomskim na drugą stronę nasypu, gdzie leżały szczątki, albo właściwie mówiąc, wióry z wagonów I i II klasy, w które uderzyła lokomotywa naszego pociągu. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z natury i ogromu katastrofy...

Dobiegliśmy do rozbitego wagonu, z pod którego ruin wydobywał się powiesciopisarz Reymont, pracując pokrwawionymi rękoma. Obok płonął wielkim czerwonym, ale już spokojnym płomieniem gaz, wydobywający się z pękniętego zbiornika wagonowego. Gaz zapalił się widocznie od lokomotywy, i wybuchając w pierwszej chwili, osmalił Gadomskiego i Reymonta.

Na połamanej podłodze leżał trup młodej



Katastrofa na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Fot. dla „Tygodnika“ A. Karoli.

kobiety, przywalony aksamitnymi ławkami i poduszkami, oraz tłomokami.

— To siostra Gadomskiego — powiedział Reymont; — trzeba ją stąd wydostać.

Przy pomocy brata i dwóch robotników wydobyliśmy ciało panny Gadomskiej.

Złożywszy je w cieniu domku dróżniczego, obejrzeliśmy się za ratunkiem, brat bowiem nie chciał wierzyć w śmierć siostry.

Niestety, o ratunek było niełatwo. Dokoła panował zamęt nie do opisania.

Podróżni biegali tu i tam, szukając się wzajemnie; po obu stronach nasypu stały tłumy ludzi z okolicy, pomiędzy którymi, jak mi mówiono później, nie brakło i złodziei z Woli, znęconych chętką łupu. O organizacji pomocy na szerszą skalę nikt na razie nie myślał.

Po jakich dwudziestu minutach przyjechał parowóz i przywiózł grono różnych dygnitarzy, ale ani jednego lekarza. Dopiero na drugim parowozie spostrzegliśmy niebieskie czapki lekarzy i sanitariuszów „Pogotowia“, które powitano okrzykiem radości.

Pogotowie zabrało się energicznie do pracy i za chwilę w szerokim rowie kolejowym zaczęto układać szeregiem i opatrywać rannych.

Gadomski tak był zgnębiony moralnie śmiercią siostry, że nie czuł obrażeń fizycznych, które, jak się później okazało, były bardzo poważne.

Stał w milczeniu, wsparty o ścianę domku dróżniczego, i patrzył ponurym wzrokiem przed siebie. Reymont również zdawał się spokojny i nie skarżył się z początku na nic; dopiero po jakiej godzinie, kiedy podniecenie minęło, nastąpiła gwałtowna reakcja. Uczuł się tak osłabionym i rozbitym, że zdecydował się jechać pod opieką Pogotowia do Warszawy, do szpitala praskiego.

Tymczasem zdołano wydobyć z ruin pociągu część zabitych i rannych, i co chwila objało się o uszy nasze jakieś znane lub nieznanie nazwisko.

„...Inżynier Vorbrodt zabity... jego córka do stała obłąd... Dr. Flaum złamał nogę... Fabrykant Wolanowski jest bez nadziei... Jakaś panienska szuka z płaczem rodziców... Zwrotniczy, który na próżno starał się za pomocą sygnałów alarmujących zapobiec katastrofie, silnie potłuczony...

Służba obu pociągów niebezpiecznie poraniona... Cztery osoby zabite... dwadzieścia kilka pokaleczonych... Kto winien?... Weksel źle nastawiony... To skandal!“

Kilka osób zwraca uwagę na fatalny zwyczaj zamykania na klucz drzwi wagonowych w pociągach, wychodzących z Warszawy, wskutek czego przerażeni podróżni musieli wyskakiwać przez wysoko położone okna, narażając się na połamanie rąk i nóg.

Rzeczywiście od dwóch lat wszystkie pociągi, wychodzące z Warszawy, mają drzwi z prawej strony zamknięte na klucz, tak, że na przystanku Włochy, gdzie się wysiada na prawą stronę nasypu, niepodobna wyjść z wagonu i trzeba się głośnym krzykiem dopominać o otworzenie drzwi, albo wydobywać się tylnym otworem wagonu i zeskakiwać po buforach, co także stać się może powodem wypadku.

Wreszcie nadszedł pociąg z Warszawy, żeby zabrać część ofiar. Złożyliśmy na podłodze wozu towarowego ciało p. Gadomskiej i przybyliśmy z tym smutnym ciężarem do Warszawy, pozostawiając na miejscu resztę okaleczonych ciał i szczątki rozbitych wagonów, w których przed dwiema godzinami siedzieli ludzie, weseli i smutni, zdrowi i chorzy, ale spragnieni życia, pełni nadziei, śpieszący do domów rodzinnych, do pracy, do interesów...

Jedna chwila niedbalstwa, jedno poruszenie palca, zrobione, czy nie zrobione w należytych momentach, kładzie kres temu wszystkiemu.

Ludzie giną, bez walki, bez oporu, nie wiedząc jak, dlaczego i za co...

Teraz zrozumiałem, dlaczego katastrofa kolejowa tak słaby ślad zostawia w pamięci ogółu. Jest ona straszna, okropna, ale niema w niej ani odrobiny żywiołu dramatycznego, lub epicznego, niema poezji. Z burzą na morzu, z pożarem, z powodzią, z napadem rabusiów człowiek walczy. Walka rozkłada się na szereg epizodów; scen, powikłań, które wynikają logicznie jedno z drugich, potęgują się stopniowo i dopiero po pewnym przeciągu czasu dochodzą do punktu kulminacyjnego — do katastrofy końcowej.

W wypadkach kolejowych niema ani śladu stopniowania: wszystko trwa chwilę, spada na

człowieka nieprzygotowanego, zamkniętego w ciasnej komóreczce i nie mogącego nie tylko się bronić przed nieszczęściem, ale nawet zdać sobie sprawy z tego, skąd i jakie to nieszczęście na niego spada.

Człowiek, który wyjdzie cało z katastrofy, dopiero po pewnym czasie zaczyna rozumieć, co mu groziło, zaczyna sumować wrażenia odebrane po fakcie i szukać logicznego związku pomiędzy przyczyną a skutkiem.

Szuka i nie znajduje. Huragan, pożar, wojna, powódź to potęgi żywiołowe, to siły wyższe, fatalne. Ulegając im, człowiek się godzi z koniecznością, i to mu sprawia ulgę: jest on zwyciężony, ale nie poniżony, nie *sponiewierany*.

Przyczyna i skutek wiążą się z sobą logicznie i równoważą do pewnego stopnia.

Gdzież jednak szukać równowagi pomiędzy

niedbalstwem urzędnika, lub ziarnkiem piasku w aparacie automatycznym, a straszliwymi skutkami zetknięcia się z sobą dwóch olbrzymich ładunków żywego ciała, biegnących po liniach równoległych w dwie przeciwne strony i zbaczających z tych linii przypadkiem, bez potrzeby, bez nacisku „siły wyższej“?

Wszystko, co się stało, mogło się nie stać. Kilka cali na prawo, lub na lewo, kilka sekund później lub wcześniej, jeden ruch palca, jedno mgnienie oka — a pociągi minęłyby się spokojnie, dowożąc tych, którzy z całą ufnością dali się w nich zamknąć, szczęśliwie do celu... Wszystko, zarówno śmierć, jak ocalenie, zależą od przypadku.

Ta przypadkowość, ta nielogiczność, ten brak stopniowania i przygotowania psychicznego, połączony z brakiem równowagi pomiędzy przyczyną a skutkiem, czyni katastrofy kolejowe tak ohydne-

mi i wstrętnymi, odbiera im bowiem nawet urok tragizmu, towarzyszący wszelkim klęskom żywiołowym. Są to straszliwe i krwawe „komedye pomyłek“ ludzkich! Pomyłek tak mizernych na pozór, że nie dostarczyłyby materiału do farsy, a tak brzemiennych w skutki...

Widome znaki tych skutków bywają szybko zatarte, i wszystko wraca do normalnego trybu: długie pasy szyn lśnią się na słońcu; szeregi pudeł naładowanych ludźmi biegną po nich z szaloną szybkością tam i napowrót, przez całe tygodnie, miesiące, lata niekiedy, dopóki znowu ruch palca, zrobiony w niewłaściwej chwili, lub ziarnko piasku, które wpadnie do wnętrza aparatu, nie sprowadzi tych ruchomych mas żelaza i drzewa z właściwej orbity i nie wywoła krwawej katastrofy...

I. G. M.

Kronika powszechna.

Osobiste.

Redaktor naszego pisma, dr Józef Wolff, wyjechał za granicę.

Polityka.

Nareszcie otrzymano wiadomość urzędową o rzezi w Pekinie. Straszne oczekiwania sprawdziły się. Dnia 6 i 7 b. m. wojsko chińskie z bokserami wspólnie opanowało ostatnią ucieczkę cudzoziemców, obszerne, murem otoczony gmach ambasady angielskiej, i wymordowało wszystkich Europejczyków. Dzienniki angielskie podają telegraficzny opis tej dziejowej tragedii. Przytaczamy go tu w streszczeniu, jako wypadek nie tylko ciekawy w swoim przebiegu, lecz także jako fakt, który musi mieć wielkie następstwa. Rzeź pekińska zaostreza w wysokim stopniu sytuację, gdyż mocarstwa, które, bądź co bądź, zawiły zazdrością, przeszkadzającą wspólnemu działaniu, i brakiem oględności, tudzież należytej oceny położenia, nie będą już mogły poprzestać na prostym przywróceniu porządku. Musi być wymierzona sprawiedliwość, musi nastąpić zupełne zadosyćuczynienie i dana rękojmia przyszłości. Trudne to będzie dzieło. Z drugiej strony odgłosy rzezi w Pekinie podnieciły jeszcze

ruch rewolucyjny chiński, który szerzy się coraz więcej. Zdaje się przeto, że nadejdzie wielka wojna rasowa w całej grozie. — A oto jest opis katastrofy pekińskiej: Po zniszczeniu domów innych poselstw, wszyscy posłowie, żołnierze i wogóle cudzoziemcy zamknęli się w obszernej i silnie zbudowanej ambasadzie angielskiej. Dnia 25 czerwca bokserzy i wojsko chińskie rozpoczęły oblężenie tej improwizowanej twierdzy, coraz więcej zacieśniając koło. Oblężeni robili częste wycieczki, zwłaszcza nocą, zadając oblegającym ciężkie straty, poczem Chińczycy zaczęli się nawet cofać dalej od oblężonego miejsca. Dzielność obrony Europejczyków zdetonowała na razie bandy chińskie. Z tej chwili skorzystał książę Czing, który z wiernem sobie wojskiem podjął akcję w obronie poselstw. Równocześnie książę Tuan zdecydował się na stanowczy atak, który wykonano w trzy kolumny z silną artylerią. Dnia 6 lipca o godz. 6 wieczorem rozpoczęło się bombardowanie ambasady. Po dwugodzinnej kanonadzie, przeważnie granatami, mury zostały znacznie uszkodzone. Teraz Chińczycy przypuścili szturm ogólny. Europejczycy po-

witali ich jednakże takim mordereczym ogniem karabinowym, że atakujący rzucili się do ucieczki, pozostawiając setki poległych i rannych. Tuan kazał wznowić bombardowanie, a następnie ognistą odezwą zdołał zagrazić Chińczyków do nowego ataku. W tym czasie przybyło wojsko Czinga i generała Wang-Weng-Shao, również przeciwnika Tuana. Wywiązała się bitwa pomiędzy Chińczykami, ale wielu bardzo żołnierzy Czinga zbiegło na stronę Tuana, wskutek czego tenże odniósł zwycięstwo. Generał Wang, starzec 70-letni, poległ; podobno zginął i Czing, ale ciała jego nie znaleziono, więc przypuszczają, że uszedł. Po tej rozprawie z Czingiem, Tuan przedsięwziął jeszcze kilka ataków na ambasadę; wszystkie odparto, i zdawało się, że zwycięstwo staje się już udziałem oblężonych, gdyż około 6 rano atakujący cofnęli się zupełnie. Wtedy to zjawił się nagle generał Tungfuhsiang ze świeżym wojskiem i rozpoczął nowe bombardowanie. Budowle ambasady były już w większej części zburzone, oblężeni chronili się gdzie kto mógł, amunicja była wyczerpana. O 7 rano wojsko chińskie przypuściło szturm, ale niestety, już atakujących nie powitano kulami. Karabiny zamilkły. Wschodzące słońce rzuciło swój pierwszy promień na śmiertelną walkę tej garstki, skazanej na niechybną zagładę. Stała ona na gruzach, ściśnięta ramię do ramienia. Przeświadczenie o bezbronności ofiar wzniciło jeszcze żądzę krwi w tanatycznym tłumie. Jeszcze krótka walka na kolby, na noże, na pięści, i garść walecznych zniknęła w otlachani wścieklej masy. Wymordowawszy cudzoziemców, tłuszcza bokserów i wojska Tungtushiang zwróciły się przeciw dzielnicom chrześcijan chińskich, gdzie sprawiono także krwawą kąpiel.

Zmarli.

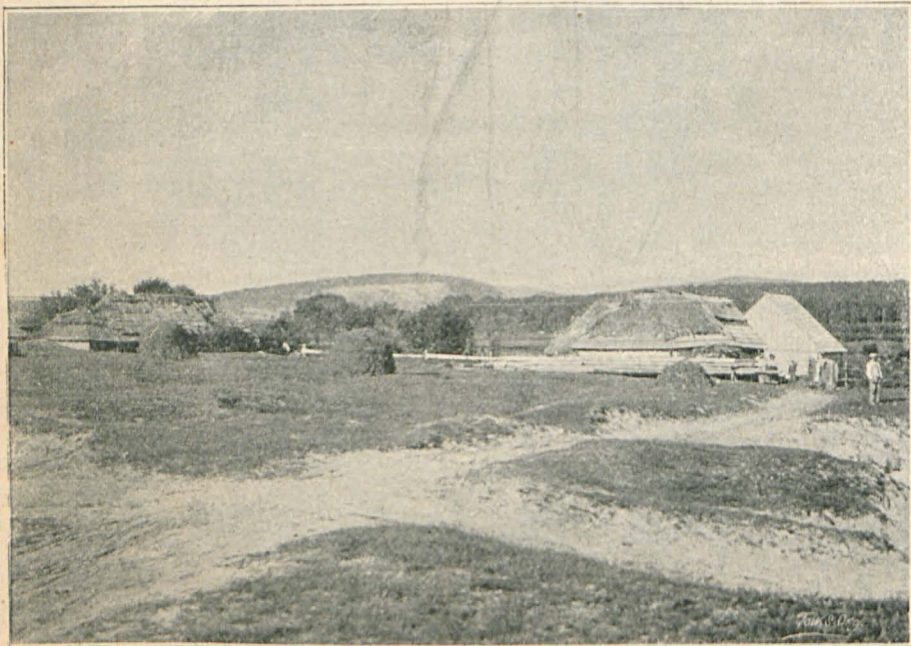
Karol Szlenker, znany przemysłowiec, zmarł w dniu 13 bieżącego miesiąca w Warszawie. Urodzony w r. 1839, syn Karola i Anny z Temlerów, okazywał nieboszczyk od lat najmłodszych ogromną energię, dzięki której i dzięki gruntownej znajomości swego fachu, znakomicie rozwinął u nas przemysł gar-

barski i pchnął go na nowe, nieznane u nas dotychczas tory, oraz zawiązał bezpośrednie stosunki z całą niemal zagranicą. Rozwinąwszy swe warszawskie garbarnie na wielką skalę,



Karol Szlenker.

otworzył s. p. Szlenker ich filię w Berdyczowie i skupił koło nich tysiące pracowników; niezależnie od tego zawsze bystry umysł nieboszczyka myślał o rozwoju zaniedbanych dotychczas gałęzi przemysłu krajowego, czego owocem była wielka fabryka firanek, otwarta przed niedawnym czasem w Warszawie. Nadmierna praca zawodowa pozostawiała jednak s. p. Karolowi Szlenkerowi czas wolny i na sprawy społeczne, a jego prawdziwie obywatelskie serce nigdy nie odmawiało światłej rady, lub czynnej pomocy różnym instytucjom, wśród których nasze Muzeum przemysłu, Kasa przemysłowców, Towarzystwo wzajemnego kredytu i inne, mają mu wiele do zawdzięczenia. Choroba sercowa, nartująca od lat kilku ten dzielny i aż do ostatniej chwili czynny organizm, sprowadziła śmierć przedwcześnie s. p. Karola, która nie tylko osieraca najbliższą rodzinę, lecz pozbawia pracowników dbałego o ich dobro opiekuna, a społeczeństwo nasze jednego z najpożyteczniejszych członków. Niechaj spoczywa w spokoju!



Widok na górę Miedzianą z Oblągorka.

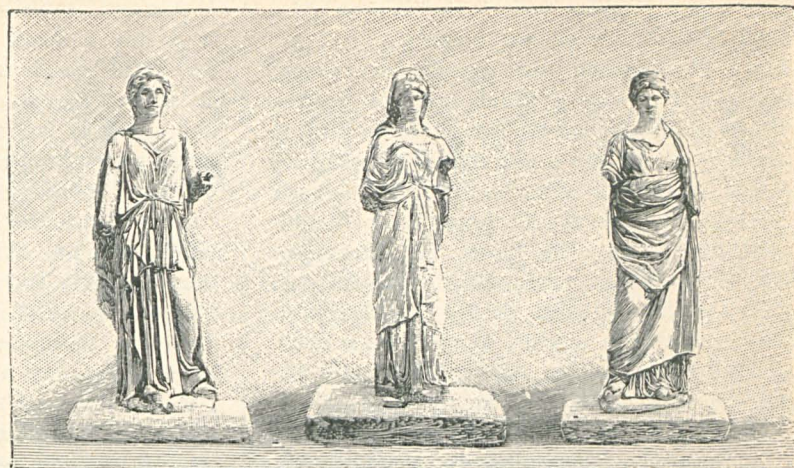


Głowa Cerery.

Odkrycia archeologiczne w Kartaginie.

Poszukiwania p. Gaucklera w okolicach, gdzie ongi wznosiła się dumna Kartagina, przyniosły obfite owoce. Chcemy w krótkości zaznaczyć czytelników „Tygodnika” z przedmiotami sztuki, wydobytymi ze świątyni Jowisza Ammona. P. G. prowadzi roboty w pobliżu cysterny Bordż-Dżedyd, na gruncie, rozpościerającym się pomiędzy wielkim źródłem, gdzie Vernay znalazł w 1885 r. pierwsze grobowce kartagińskie, a cmentarzem punickim, eksploatowanym w swoim czasie z powodzeniem przez p. Delattre'a. Jest to może najważniejszy punkt w całej Kartaginie pod względem archeologicznym. Znajdujemy tutaj nawet szczątki, pochodzące od narodów podbitych przez Kartagińczyków. Oczyszczając powierzchnię gruntu, wydobywamy naprzód kawałki gliny palonej, służące do pokrywania ścian budynków, monety, lampy (gliniane) etc. Poniżej, w głębokości 12 m., napotykamy groby bizantyjskie, jeszcze zaś niżej natrafiamy na budynki, pochodzące z owej epoki, a pomiędzy innymi na dom rzymski, który zasługuje na szczególną uwagę archeologa. W pośrodku dostrzegamy fontannę, dalej dwa pokoje, których podłoga jest wykładana mo-

zaikowymi płytami. Największa z nich wyobraża pejzaż morski: pawilonik z wieżyczkami, ocieniony drzewami, a dookoła niego grupy osób, zajętych wiosłowaniem, łapaniem ryb siecią, na wędkę i trójzab; w dolnej części krajobrazu umieszczono grupy i sceny mitologiczne. Mozaiki te, sądząc ze stylu, w jakim są trzymane, pochodzą z pierwszych wieków epoki chrześcijańskiej. Pod niem jednak trafiono na mury znacznie starsze. Badając je, odkryto wazki kurytarz i schody, prowadzące do sali, przegrodzonej murem na dwie połowy. Znalezione tutaj, prócz wielu szczątków malowanych stiuków, lampy chrześcijańskie w formie ryby, krzyża i t. p., oraz odłamki słupów, stylu czysto pompejańskiego. Jeden z takich odłamków wyobraża młodą dziewczynę, zapewne kapłankę, odzianą w białą draperyę, z kwiatem lotosu nad czołem; trzyma ona w lewej ręce laskę, zakończoną krzyżem. Obok pełno połamanych statuetek, wyobrażających bóstwa pogańskie: Wenus z delfinem, Jowisza z orłem, Bachusa, dającego pić panterze, główkę Amora, łeb lwa, naczynia, maskę bogini w dyademie etc. W zakątku sali, oparta o mur, stała wielka płyta marmurowa z napisem: „Jovi, Hammoni, Barbaro, Sylvano.” Niżej druga dedykacja, wyryta inną ręką znacznie później, głowa ofiarnego byka z napisem pomiędzy rogami, poświęconym Saturnowi, ze 20 granitowych betylów i kul kamiennych z prętami bronzowymi, przeprowadzonymi przez środek, oraz krążków z terrakoty. Kule owe brano



Kapłanka.

Posągi Cerery.

początkowo za pociski, wyrzucone przez armaty tureckie, później jednak przekonano się, że są one pochodzenia współczesnego z innymi przedmiotami i że prawdopodobnie służyły za ofiarę. W głębi ciemnego zakątka, w rodzaju skrytki, poszukiwacze stanęli oko w oko z czterema posągami z białego marmuru, prawie że nieuszkodzonymi. Trzy z pomiędzy nich mierzą jeden metr wysokości, czwarty, wyobrażający zawołowaną boginię, jest znacznie mniejszy i gorzej wykonany od tamtych. Posągi owe wyobraża nasz rysunek. Z lewej strony widzimy kapłankę, w pośrodku Cererę, mierzącą 0,90 m. wysokości, po prawej ręce drugą Cererę, z marmuru białego, malowanego (półtora m. wysokości). Wszystkie trzy posągi odzna-

czają się niezmiernie starannem wykończeniem i artystycznym wykonaniem; lekkie pociągnięcia pendzlem wydobywają znamienniejsze rysy, nadając statuom pozór życia. Zachowały się one doskonale, w głębi niszy, którą starannie zamurowano, a następnie zamaskowano mozaikowymi płytami. W jakim celu ukryto tak starannie te dzieła sztuki rzeźbiarskiej? Może ostatni czciciele Demetrii Jowisza Ammona pragnęli zabezpieczyć swe bałwany przed młotem niszczącym zwycięskich chrześcijan, w nadziei lepszych czasów, które nie przyszły. Poniżej znaleziono tylko groby punickie.

Z literatury.

J. Marny: *Celles qu'on ignore*.—Pani Marny posiada tak niezmiernie rzadki u kobiet, niezrównany dar dyalogu. Gyp posiadała go dawniej w równym stopniu, dawniej, gdyż obecnie pochłonięta przez politykę słynna powieściopisarka zaniedbała się bardzo. Z wielką delikatnością i głębią uczucia szkicuje pani Marny sylwetki „tych, o których się nie wie,” tych wszystkich kobiet prawdziwie dobrych, szlachetnych, kochających, o których w społeczeństwie francuskim można by zupełnie nie wiedzieć, tak wręcz przeciwne typy wystawiają nam obecni autorowie z zamiłowaniem godnem zaiste lepszej sprawy. Żywosć i subtelność dyalogu, połączone z wielką znajomością serca kobiecego, zapewniają książce pani Marny wielkie i w zupełności zasłużone powodzenie.



Świątynia Jowisza.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

Artur Gruszecki: *Dla miliona*. Powieść. Warszawa, 1900.—Treść tej powieści została osnuta na tle życia osławionych niedawnym procesem Schodnicy i Borysławia, „Kalifornią galicyjską” przezwaną. Bratkowski, eks-obywatel ziemski, człowiek prawy, lecz zapalczywy, jak na szlachcica przystało, staje do współzawodnictwa z ciemnym, ale przebiegłym i wytrawnym graczem, Żydem Krausbergiem, a to na nowej dla niego drodze przemysłowej. W części dla braku funduszu i fachowego uzdolnienia, a głównie wskutek intryg współzawodnika, od denuncjacji aż do morderstwa wyzyskanych—Bratkowski ginie, a na jego

miejsce na widownię występuje Floryński, uosabiający zrzeszone usiłowania oświecenijszej części społeczeństwa galicyjskiego koło ekonomiczno-społecznego odrodzenia. Ale że zakresił od razu bardziej szerokie koło projektów, acz słusznych i szlachetnych, niż na to zezwalała ekonomiczna i kulturalna rzeczywistość, Floryński również nie potrafił utrzymać się na powierzchni tej walki. Całą sytuację wybornie określił jeden z bohaterów powieści w rozmowie z Floryńskim; porównawszy całe przedsiębiorstwo do okrętu, tak powiada:—„Uważa pan... Galicya to mały ubogi kraj, to płytka, często bagnista woda, i z waszym

wspaniałym okrętem możecie utknąć, a żydowskie łódki popłyną dalej.” Ach, jakże prędko spełniło się proroctwo! Opis zabiegów bohaterów opowiadania—to szereg obrazów z walki prądów współczesnych na tle utajonej, ale niemniej prawdziwej walki rasowej. A obrazy te Gruszecki maluje nam barwnie i wypukle, miejscami do płaskorzeźb podobne, a przede wszystkim czuć w nich szczerą i prawdę życiową. Oto próbka: „W zaułkach pełnych śmieci, błota i cuchnących wyziewów, w izbach wilgotnych, ciemnowych, brudnych gnieździły się całe rodziny (żydowskie) nędzarzy z licznym potomstwem, skarlałym, schorowanym.

w zaduchu i w braku światła. Każda cięższa choroba była tam wyrokiem śmierci, każdy kęs chleba ucztą. Dorywcość ich tak zwanej pracy: pośrednictwa w sprawach bez wyboru etycznego; wyzysku w handlu bez oglądania się na środki; ofiarowania usług bez względu na cel i sposoby,— taka praca, wkorzeniona przez całe pokolenia, nie zapewniała im bytu, a w zmienionych warunkach życia społecznego stawała się przeszkodą i wzmacniała ucisk nędzy. A obok śliczny typ Jankla-jam-mużnika. Gruszecki nie oszczędza i innych warstw, a głównie szlachty, nadając każdej charakterystyce możliwie właściwe ujęcie. Dotychczas w twórczości Gruszeckiego natłok materiału panuje zawsze nad stroną filozoficzną, nad syntezą zagadnienia, i to dało powód do słusznego pozornie mniemania, że Gruszecki jest publicystą, który artykuły swe dzieli na rozdziały powieściowe. Tam wszakże, gdzie sfera stosunków jest bardziej skomplikowana z jaźnią autora, jak w „Tuzach” np., synteza znacznie się zwiększa, co moim zdaniem, daje się także zauważyć i w powieści „Dla miliona,” gdzie autor wykazał niewątpliwie zwiększone panowanie nad przedmiotem. Nie udają się jeno sceny miłosne, ale trudno być specjalistą od wszystkiego. Gruszecki nie należy do grona „najmłodszych” pisarzy, tem nie mniej talent jego daleki jest do końca rozwoju, i wierzę, że stworzy jeszcze polskich Rougon-Macquartów.

K. P.

Józef Zieliński: *Rys historyczny medalierstwa w Polsce w XVI i XVII stuleciu*. Odbitka z „Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych.” — Dziś nasza t. zw. inteligencja ma bardzo niedokładne pojęcie o sztuce w Polsce i o dziejowym jej rozwoju. Nieraz np. zdarzało nam się spotkać ze zdaniem, że sztuka u nas poczęła swe istnienie dopiero w drugiej połowie XIX w., że przeto nie ma poza sobą tradycji. Dlatego też, skoro dwa lata temu zorganizowano wystawę retrospektywną, wielu ze zdziwieniem szczerem przekonywało się naocznie, że Polska oddawna miała sztukę swoją, i że sztuka ta wydawała dzieła nieposłędnie. Tak samo rzecz się ma i ze sztuką stosowaną. Zapomnieliśmy, że przed wiekami kraj nasz słynął z „kunsztów” wielu, i płatnerstwo, snycerstwo, tkactwo artystyczne, ślósarstwo, mincarstwo i t. p. sztuki stosowane kwitły w pełni. Dlatego dziś z radością witamy zwolna rozwijające się piśmiennictwo naukowo-artystyczne, mające na celu badania nad historią sztuki w Polsce. Niedawno np. wyszło z druku doskonałe dzieło p. Odrzywolskiego, architekta z Krakowa, o renesansie w Polsce; p. Cercha zaczął wydawać „Pomniki Krakowa”; p. Jelski dał nam już niejedną rozprawę cenną z dziejów sztuki stosowanej; obecnie wreszcie p. Zieliński podaje kartę z historii medalierstwa (XVI i XVII wiek). Autor przedmiot swój traktuje bardzo źródłowo i umiejętnie, zarysowując stan medalierstwa na tle ogólnego rozwoju sztuk w Polsce w owej dobie odrodzenia. Z badań tych wynika, że medalierstwo w XVI stuleciu znajdowało się u nas pod wpływem przemownym odrodzenia włoskiego, w XVII zaś przeważał w tej sztuce wpływ Francji i Niderlandów, najmniej zaś Niemiec. Autor nadmieniam, że praca niniejsza jest wstępem do obszerniejszego dzieła o medalierstwie polskim. Nic nam więc nie pozostaje, tylko życzyć i autorowi i piśmiennictwu, aby dzieło to jak najprędzej mogło wyjść z druku.

z.

S. M. Roguski: *Mąż i pan*. Opowiadanie. Warszawa, 1900.—O ile wiem, jest to pierwszy w postaci książki, utwór autora, który dotychczas swe prace zamieszczał w pismach, pod znakiem *Es-em-er*. Pan Roman, podtatusiały szlachcic, jeden z rzeszy darmozjadów wioskowych, bez majątku i wykształcenia, miał bezczelność i niezłomną wolę ożenić się z posażną panną, co się dziś równa wyrażeniu: pójść na utrzymanie. Dla dopięcia celu przebył czas jakiś w Paryżu dla nabrania oglądy towarzyskiej i powrócił oszlifowany i uzbrojony kolekcją „garniturów, imponujących krojem i wykończeniem.” Otrzymałszy majątek ziemski razem z żoną, 17-letnią gęsią bez zdania i woli, wziął w kluby zarówno żonę, jak i majątek, po to wszakże, ażeby samemu w dalszym ciągu birbantować; po kilku latach katowania żony i otoczenia, umiera wreszcie, strawiony zgryzotą sumienia. Treść, jak widzimy, nie zawiera nic nowego i szczególnego: jest to stara historia nawpół zdziwiałego wieprza i zahukanej gęsi, która, pomimo narzuconej sukienki cywilizacji, nie straciła na czystości gatunku—słowem temat, który przez starsze pokolenie pisarzy, jak: Kraszewski, Korzeniowski i Kaczkowski, był już opracowany w pełniejszy nierównie i bardziej artystyczny sposób. Gdyby jeszcze autor, który włada piórem umiejętnie i z werwą, zechciał zarysowane kontury ogranego tematu uzupełnić współczesnymi zagadnieniami z zakresu tak zwanej kwestii kobiecej i ruchu etycznego, oczywista w stosownej formie powieściowej, rzecz byłaby nierównie cenniejszą.

K. P.

Antoni Lange: *Studia i wrażenia*. (Jan Fisz, 1900).—Jest to zbiór szkiców literackich i psychologicznych, w których autor rozważa różne kwestye, dotyczące zagadki twórczości literatury. (O sztuce. Sztuka i natura. O twórczości. Twórczość i obłęd. Poeci o geniuszu. Tarde i Nietzsche. John Ruskin. Estetyka Szylera. Sztuka i logika. Poezya ludów dzikich. Twórczość ludowa. O bohaterstwie. O współczesnej poezji polskiej).

ODPOWIEDZI.



P. Edmund B. w Krakowie. Sonet będzie drukowany.

Stella z nad Sanu. Sonet do księżycy niezły w nastroju, szwankuje w wykonaniu. Pierwsze dwie strofy odbiegają od architektury sonetowej. W pierwszej daje pani 4 jednakowe rymy męskie z rzędu, w drugiej dwie pary rymów żeńskich. Tak się sonetów nie rymuje. Niech Pani porówna Sonety Krymskie Mickiewicza. Prócz tego szerokie—głębokie, odpowiada—zapada—to są rymy ubogie, w utworze tak krótkim, a zwłaszcza w sonecie, absolutnie niedopuszczalne. Sonet to nie luźna gawęda, lecz kunsztowny i wykwinny produkt sztuki, którego forma nie dopuszcza żadnych licencji i zaniedbań.

X. Bajka „Pająk i jaskółka” będzie drukowana. „Dwa szczury”—może. „Śmiałek” jest słabszy—nie.

P. A. W. „Noc nad Wisłą”—nie.

Zapalanej podróźniczce. Z przewodników po Warszawie możemy Pani wyliczyć: „Przewodnik ill. po Warszawie i Łodzi” kop. 15, „Przew. po Warsz. z r. 1900” kop. 20, „Illustr. przew. po Warsz.” (wyd. „Wędrowca”) rub. 1 kop. 50 w oprawie.

P. W. B. K. Wiersze Pańskie nie mają ani rymów, ani rytmu.

Fakir. Bardzo słabe.

Od redakcyi.



Każdy prenumerator „Tygodnika Ilustrowanego” w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rs. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rs. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego” rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowania na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.



Kwartal I-szy Tygodnika ilustrowanego na rok bieżący jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rs. 1 kop. 50, lub rs. 2 za też tomy w oprawie.

NADESŁANE.

WYDAWNICTWO

GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE

MARYAN DUBIECKI

KUDAK,

TWIERDZA KRESOWA I JEJ OKOLICE

Monografia historyczna, nagrodzona przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Wydanie nowe przejrane i powiększone. Cena rub. 1.

ROCZNA MĘSKA CODZIENNA

SZKOŁA HANDLOWA

Gust. Chwata.

Programy w Księgarni Wendego.



TRZYKLASOWA ŻEŃSKA

SZKOŁA HANDLOWA.

Gust. Chwata

dla pań od 9 lat. Erywańska 14.

PRZEPROWADZKI
A. WRÓBLEWSKI i S^{KA}
TREBACKA 13.
OPAKOWANIE
MEBLI



Nr 53. KRAKOWSKIE-PRZEDMIĘSCIE Nr 53,
BIURO BANKOWE
„GAZETY LOSOWAŃ”

Kupno i sprzedaż papierów publicznych, monet i banknotów podług kursu. Przekazy na wszystkie miejscowości w kraju i za granicą. Zaliczenia na papiery publiczne. Konwersye w Towarzystwach Kredytowych: Ziemskim, m. Warszawy. Dyskonto i inkaso weksli. Rachunki bieżące i lokacje terminowe. Bezpłatne informacje ustne i piśmienne we wszystkich sprawach pieniężnych.



Wydawcy Gebethner i Wolff.

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Redaktor Dr Józef Wolff.

Redaktor przyjmuje codziennie z wyjątkiem świąt, w biurze redakcyi, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcyi, nie zwraca się.

Доводено цензурою, Варшава, 5 Июля 1900 года.